Chrześcijańskie Czasopismo dla Kobiet

ISSN 1233-7161

Samarytanka

nr 112 (2/2016)

Lato-Jesień

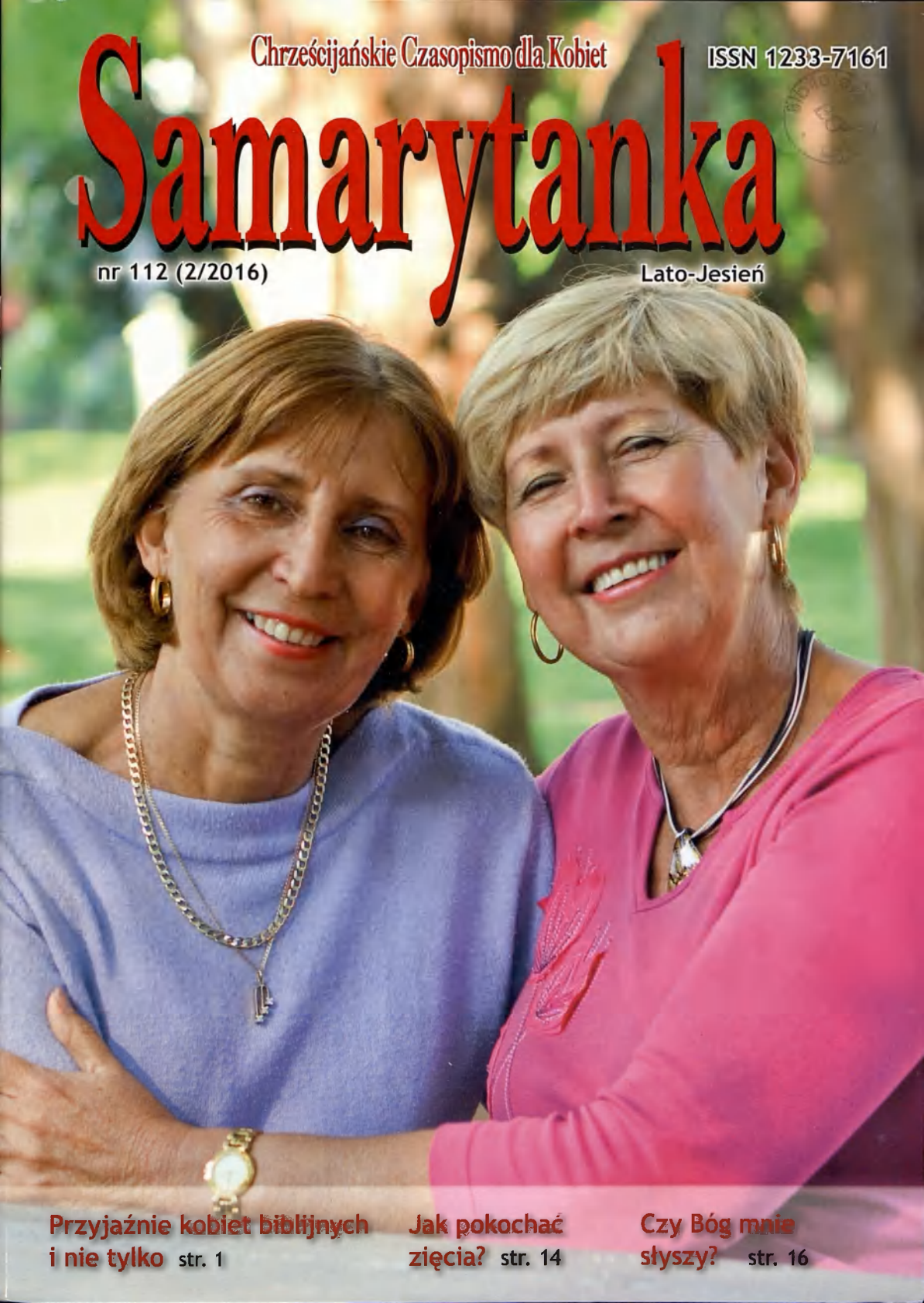

Przyjaźnie kobiet biblijnych i nie tylko str. 1

Jak pokochać zięcia? str. 14

Czy Bóg mnie słyszy? str. 16

W numerze:

1 **Przyjaźnie kobiet biblijnych i nie tylko**
O szczególnym charakterze przyjaźni między kobietami.

7 **Bóg dał mi przyjaciółkę**
O wytrwałym budowaniu przyjaźni i czerpaniu z niej ogromnej radości.

10 **Chciałam zrobić cokolwiek dla Boga**
O wyjątkowym czasie spędzonym z wyjątkową osobą.

12 **Ale jak mam kochać Boga?**
Zachęta do przeczytania książki Ch. W. Colsona.

14 **Jak pokochać zięcia?**
O problemie z zaakceptowaniem wyboru dorosłej córki.

16 **Czy Bóg mnie słyszy?**
O codziennym kroczeniu za Jezusem.

22 **Kobieta**
Poetycko o wartości kobiety.

24 **Wierność w doświadczeniach**
O życiowej sile płynącej z bliskości z Bogiem.

26 **Pytania i odpowiedzi**
Jak pogodzić codzienne obowiązki ze służbą w kościele?

28 **Nie wystarczy sama modlitwa**
O walce o relacje z mężem i ojcem.

30 **Troszcząc się o swoją trzódkę**
O cechach matki przypominającej dobrego Pasterza.

32 **Chrześcijańska dojrzałość**
O miłości i poświęceniu prowadzącym do dojrzałości.

36 **Dlaczego powinniśmy się modlić?**
O modlitwie wstawienniczej za tymi, którzy giną.

39 **Dziewczynka wśród lwów**
O dziecięcym, silnym zaufaniu.

40 **Człowiek to klejnot niezniszczalny**
O niezwykle skomplikowanym Bożym dziele.

44 **Przepis**
Tarta z truskawkami.

Jeżeli jesteś zainteresowana poruszaną w naszym czasopiśmie tematyką, jeżeli masz problem i potrzebujesz modlitwy lub porady duszpasterskiej, napisz do nas na adres:

Samarytanka

Skrytka pocztowa 17, 43-430 Skoczów
tel. 33 853 24 17
e-mail: tatiana.hydzik@gmail.com

Biblioteka Śląska EO

Tatiana Ilczuk-Hydzik

Przyjaźnie kobiet biblijnych i nie tylko

Przyjaźnie między kobietami mają szczególny charakter. Określają, kim jesteśmy i kim wkrótce będziemy. Łagodzą także nasze burzliwe życie wewnętrzne, wypełniają emocjonalne luki w naszych małżeństwach i przypominają nam o naszej tożsamości. Mogą też sprawić jeszcze więcej. Dla większości kobiet rozmowa z przyjaciółkami to coś więcej niż rozrywka – to podstawa dobrego samopoczucia i ważny sposób intymnego kontaktu.

Badania dowiodły, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż kobiety cieszące się bliskimi przyjaźniami będą żyły dłużej i rzadziej będą zapadały na depresję.

Słyszałam kiedyś stwierdzenie, że tak jak nasze ciała zostały stworzone do tego, by nosić dzieci, tak nasze serca zostały stworzone do tego, aby „nosić przyjaciół".

Z natury tęsknimy za kimś, by być z kimś związanym. Pragniemy mieć przyjaciółkę, która wie, czego nam potrzeba i nie zadaje zbędnych pytań, która nas wspiera, gdy jesteśmy w dołku, która nie krytykuje naszego męża czy naszych dzieci, lecz zachęca nas do tego, byśmy ich kochały, która chętnie wysłuchuje opowieści o naszych marzeniach i jest gotowa pomóc nam je spełnić.

Jedna z moich przyjaciółek powiedziała: „Marzę o tym, by mieć przyjaciółkę, która będzie mnie bezwarunkowo kochała, wysłuchiwała mnie zawsze, wspierała w cierpieniu, śmiała się ze mną, gdy będę szczęśliwa i siedziała ze mną w milczeniu, gdy słowa są zbędne. Pragnę też odwdzięczyć się jej tym samym".

Zgodzicie się, że tęsknimy za kimś, kto nie pyta, jak może pomóc, lecz natychmiast zaczyna wspierać, gdy ciężary, które dźwigamy, są zbyt wielkie; za kimś, z kim mogłybyśmy być zupełnie szczere bez obawy, że nas odrzuci lub potępi, za kimś, z kim mogłybyśmy dzielić nasze zwycięstwa i sukcesy bez lęku przed zazdrością i ściganiem się; za kimś, komu mogłybyśmy się zwierzyć z osobistych i duchowych zmagań, bez strachu, że będzie nas osądzać lub pouczać.

Wierzę, że Bóg, nasz Ojciec, rozumie kobiece pragnienie posiadania przyjaciółki od serca. On stworzył nas po to, abyśmy żyli w związkach. Takim przykładem jest historia Marii, matki Pana Jezusa i Elżbiety, matki Jana Chrzciciela.

W 1 rozdziale Ewangelii Łukasza archanioł Gabriel przyniósł cudowną, niewiarygodną nowinę młodej Marii: jako dziewica ma począć za sprawą Ducha Świętego dziecko i dać życie Zbawicielowi świata. Zanim ta nowina dotarła do świadomości Marii, anioł dodał: „Aha, jeszcze jedno, twoja ponoć bezpłodna kuzynka Elżbieta także będzie miała dziecko w późnym wieku". Gabriel wiedział, że młoda dziewczyna będzie potrzebowała wsparcia ze strony przyjaciółki, która ją zrozumie i dlatego, nim zdążyła o cokolwiek zapytać, wysłał ją do Elżbiety.

Czy jesteśmy w stanie sobie wyobrazić przerażenie, którego doświadczała Maria, wówczas 16-letnia dziewczyna, wędrując do Judei (około 10 km z Galilei), by spędzić trzy miesiące ze swoją kuzynką? Z pewnością w jej młodej główce krążyły myśli: „Nikt mi nigdy nie uwierzy, Józef mnie oddali. I co pomyślą moi rodzice?"

Czytamy, że kiedy Maria weszła do domu Elżbiety, starsza kobieta pobłogosławiła ją słowami: *Błogosławiona jesteś między niewiastami i błogosławiony jest owoc Twego łona. A skądże mi to, że Matka mojego Pana przychodzi do mnie? Oto skoro głos Twego pozdrowienia zabrzmiał w moich uszach, poruszyło się z radości dzieciątko w moim łonie. Błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła, że spełnią się słowa powiedziane Ci od Pana* (Łk 1,42-45).

Czy jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, jakim balsamem dla duszy młodej dziewczyny były słowa pocieszenia wypowiedziane przez Elżbietę? Bóg objawił swój plan Elżbiecie, ona zaś z kolei umocniła Marię, nim ta odkryła swą nowinę. Maria została tak bardzo umocniona, że wyśpiewała pieśń: *Jakże dusza moja wielbi Pana (...), bo skłonił się do mnie, swej pokornej służebnicy.* Pozostała z Elżbietą przez 3 miesiące – bez wątpienia pomogła przy porodzie Jana – a następnie wróciła do domu.

Kolejnym przykładem biblijnej kobiety jest Noemi, która wraz z rodziną znalazła się na obczyźnie, gdzie jej sytuacja radykalnie się zmieniła. Jak wiemy z Biblii, jej mąż zmarł, dziesięć lat później zmarli jej dwaj synowie. Wraz ze śmiercią tych trzech mężczyzn umarły też nadzieje i marzenia Noemi. Była zniechęcona, przybita i przygnębiona, ponieważ nikt się nią nie opiekował. Miała dwie wspaniałe synowe, ale skoro nie miały mężów, za sprawą których mogłyby przyjść na świat dzieci i przedłużyć ród, jej przyszłość była beznadziejna.

Czytamy, że Noemi postanowiła wrócić do ziemi rodzinnej. Ucałowała obie synowe, podczas gdy one głośno zapłakały. Obie kobiety bardzo kochały swoją teściową i przywarły do skraju jej sukni, a po policzkach spływały im strumienie łez. Jedna z nich, Orpa, pożegnała ją i odeszła. Druga, Rut, objęła Noemi i błagała, by ta pozwoliła jej iść ze sobą: *Nie nalegaj na mnie, abym opuściła ciebie i abym odeszła od ciebie, gdyż tam, gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę, gdzie ty zamieszkasz i ja zamieszkam, twój naród będzie moim narodem, a twój Bóg będzie moim Bogiem. Gdzie ty umrzesz, tam ja umrę i tam będę pogrzebana. Niech mi Pan to uczyni i tamto dorzuci, jeśli coś innego niż śmierć oddzieli mnie od ciebie* (Rt 1,16-17).

Noemi była kobietą, która porzuciła swoje marzenia i nie miała nadziei, że może jeszcze kiedykolwiek znaleźć szczęście i spełnienie. Oślepiała ją gorycz i nie słyszała

odpowiedzi na swoje modlitwy, a Rut, której imię znaczyło „kobieta - przyjaciółka", była tuż obok niej. I choć Noemi porzuciła marzenia, Bóg miał plan ich odzyskania. Ponieważ Noemi była zgorzkniała, to nie pozwoliło jej dostrzec, że Bóg za pośrednictwem Rut zapewnia jej miłość, siłę i wsparcie. Umieścił ją nawet w drzewie genealogicznym Jezusa!

Może się wydawać, że tak się złożyło, że Rut udała się na pole Booza, jednak w królestwie Bożym nie istnieje „tak się złożyło"... To Bóg zaprowadził Rut na pole. Właśnie starał się odzyskać marzenia Noemi i umieścił Rut w centrum pola należącego do kogoś, kto mógł te marzenia spełnić. Jakże pełen radości był dzień, gdy Booz i Rut stali się mężem i żoną! Wkrótce potem Rut poczęła i urodziła syna, któremu dała na imię Obed. Został on ojcem Jessego, a ten z kolei był ojcem Dawida, najmożniejszego króla w historii Izraela.

Czego możemy nauczyć się od Noemi? Tego, że czasami Bóg wykorzystuje innych ludzi, by odnowić nasze marzenia, dlatego nigdy nie poddawajmy w wątpliwość Bożych planów wobec naszego życia. On chce nam dać dużo więcej niż to, o co kiedykolwiek moglibyśmy poprosić lub co moglibyśmy pomyśleć, ale my często mamy skłonność do poddawania się, gdy napotykamy trudności . To oczywiste, że strata męża i dwóch synów może zniszczyć każdą kobietę, ale jakże wspaniałe jest to, że Bóg nas nigdy nie opuści ani nie porzuci. Sprowadzi kogoś, kto się nami zaopiekuje, nawet w najcięższej i najtrudniejszej sytuacji, jaką można sobie wyobrazić. Bóg daje nam krewnego mającego względy na prawa wykupu. Jego imię brzmi Jezus Chrystus.

Niektórym ludziom nawiązywanie przyjaźni przychodzi bardzo łatwo – wydają się robić to bez najmniejszego wysiłku. Najwidoczniej nie mają żadnych obaw czy niepokojów, które dręczą większość z nas. Odważnie patrzą innym w oczy i nie martwią się, co ludzie pomyślą o nich, ich słowach czy zachowaniu.

Jest to jednak wyjątek od reguły. W większości z nas kryją się często głęboko zakorzenione obawy, które nie pozwalają nam zbliżyć się do ludzi i dzielić się z nimi swoimi przeżyciami. Pojawiają się myśli typu: „Jak tylko coś powiem, na pewno głupio wypadnę", „Na pewno nie chcą się przyjaźnić z kimś takim jak ja", „Jeśli pójdę do nich na obiad czy na kawę, być może nie będę mogła się im zrewanżować". Wątpliwości jedna po drugiej mogą przychodzić nam do głowy i nie potrafimy przeskoczyć oddzielającej nas od siebie bariery.

A czy kiedy mamy okazję pomodlić się publicznie, nie mamy tych samych myśli? Myślę, że pomogłoby nam, gdybyśmy przyznali się do swoich obaw i otwarcie o nich ze sobą porozmawiali. Ci, którzy nauczyli się radzić sobie ze swoimi obawami, mogą pomóc tym, którzy nadal z nimi walczą. Oni potrzebują naszego wsparcia i łagodnej zachęty.

Kolejną prawdą jest fakt, że wielu z nas jest po prostu zbyt zajętych, aby zaprzyjaźnić się z innymi. Chcielibyśmy, ale wydaje się nam, że nie ma na to czasu. Dopóki jednak nie znajdziemy czasu na przebywanie ze sobą, nie będziemy w stanie skutecznie sobie pomagać.

Czy zwróciliście uwagę na to, jak swobodni i przyjaźni są ludzie na przyjęciu urodzinowym, weselnym (takim bez serwowania alkoholu) czy np. po sobotniej wycieczce?

Dzieje się tak dlatego, że nieco zmalały bariery, które nas dotychczas dzieliły i dzięki temu jesteśmy mniej spięci i skrępowani. Albo kiedy wspólnie pracujemy w kuchni, czy pomagamy w sprzątaniu obiektu po remoncie? Chodzi o to, aby świadomie szukać sposobów wspierania i budowania osób, z którymi ma się kontakt.

Ale musimy sobie uświadomić, że każdy chrześcijanin jest kimś wyjątkowym i jest akceptowany przez Boga takim, jakim jest, bo tylko taka postawa pomoże nam postępować tak samo w stosunku do innych. Pozwólcie, że przytoczę słowa ap. Pawła, który pragnie, aby każdy z nas traktował innych w taki właśnie sposób: *Przyobleczcie się* (...) *w serdeczne współczucie, w dobroć, w pokorę, łagodność i cierpliwość* (Kol 3,12).

Tego powinniśmy się uczyć od najmłodszych lat, potem uczyć nasze dzieci, stwarzając im możliwości do nawiązywania właściwych relacji i pomagając rozwiązywać pojawiające się problemy, dając też dobry przykład relacji, jakie nawiążemy z innymi kobietami.

Czytamy w Biblii, że *dzielenie smutku zmniejsza go o połowę, a dzielenie radości daje podwójną radość*. Nasze czasopismo jest tego wyrazem, bo na łamach *Samarytanki* możemy dowiedzieć się wiele o tym, co może zdziałać kobieta, która, widząc drugą kobietę w problemach, nawiązując z nią kontakt, poświęcając jej czas, modli się o nią i w końcu przyprowadza do Jezusa, który przejmuje jej los w swoje ręce. A od tego momentu los takiej kobiety zmienia się o całe 180 %. Do takiej przyjaźni jesteśmy stworzone, bo czujemy się w tym szczęśliwe i spełnione.

Kochane Czytelniczki,

pod koniec kwietnia br. wraz mężem wyjechaliśmy na 3-tygodniowy odpoczynek na wieś w Bieszczady. 4 maja około 8.15 rano, przygotowana do wyjazdu samochodem do gminnego miasteczka, by zrobić zakupy oraz nadać przesyłki na poczcie, usiadłam na chwilę, by zażyć tabletki, ale nie zdążyłam, ponieważ odczułam nagle bardzo silny ból w plecach na odcinku 12 kręgu po kręgi krzyżowo- lędźwiowe, wzmagający się nie do wytrzymania. Chwilę później straciłam władzę od pasa aż po czubki palców.

Mąż próbował mnie ewakuować do łóżka, pomodliliśmy się, ale bezwład uczynił mnie tak ciężką, iż zrozumieliśmy, że w tej sytuacji sami nie damy rady. Nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji, pomyślałam, że gdy wezwiemy pogotowie, wówczas odpowiedni zastrzyk rozwiąże mój problem. Ale panowie z pogotowia zabrali mnie do szpitala w Przemyślu. I tak znalazłam się na oddziale neurologii.

Gdy piszę te słowa, mija 13 dzień mojego tu pobytu. Mam bardzo dobrą opiekę lekarską i rehabilitacyjną. Z medycznego punktu widzenia moje leczenie potrwa prawie 2 miesiące, czym na początku byłam zaskoczona, ale okazało się, że szpital zagwarantował mi 3-5-tygodniową rehabilitację, trwającą tak długo, aż wstanę na nogi.

Kiedy tak sobie leżę przykuta do łóżka, zastanawiam się, dlaczego to stało się w Przemyślu... Od roku miałam problemy z bólami w kręgosłupie z promieniowaniem na nogi, co utrudniało mi zwykłe chodzenie, zwłaszcza po schodach. Zrobiono mi rtg, tomograf, które wykazały zmiany w kręgosłupie. Dostałam skierowanie na rezonans magnetyczny, na rehabilitację, ale terminy oczekiwania na nie były zbyt odległe, więc korzystałam prywatnie z tych zabiegów, co

przynosiło mi znaczną ulgę i poprawiało na jakiś czas komfort chodzenia. Termin rezonansu umowiony był dopiero na koniec sierpnia.

Teraz żałuję, że nie zdecydowałam się prywatnie zrobić tego badania, ponieważ tutaj w szpitalu okazało się, że stan zapalny w moim organizmie rozwijał się od dłuższego czasu.

Dlaczego w Przemyślu??? Powodów może być kilka. Otoczona jestem dużą ilością kobiet, które są zawodowymi pielęgniarkami, nie czuję się wobec tego zażenowana, nie muszę o nic prosić, bo ustawia się kolejka, by mnie odwiedzić, pomóc, kupić itp. Zbór w Przemyślu zorganizował listę osób, które zdecydowały się w swoich domach codziennie w godz. 21-22 modlić się o mnie i mojego męża. Od tego momentu czuję, jak Bóg mnie w szczególny sposób błogosławi. Mam niesamowite poczucie bezpieczeństwa, pokój w sercu i radosne zaciekawienie, jak Bóg rozwiąże nasze problemy, ponieważ mój mąż również cierpi na chorobę nieuleczalną z medycznego punktu widzenia i niebawem będzie poddany zabiegom ratującym życie.

W oczekiwaniu na Boże działanie doświadczam niewyobrażalnej miłości i dowodów sympatii ze strony różnych kościołów i osób indywidualnych, tak w Polsce jak i poza jej granicami. Codziennie otrzymuję telefony, maile, sms-y z wyrazami zapewnienia o modlitwie, a także świadectwa snów, proroctw o tym, że jestem widziana znowu na konferencji, a mąż głosi Słowo Boże.

Wierzę, że tak będzie, wierzę, że Chrystus poniósł i tę chorobę na krzyż, a Jego sińcami zostaliśmy uzdrowieni. Z wiarą spoglądam na krzyż, gdzie dokonało się uzdrowienie.

Chciałabym przy tej okazji wszystkim darczyńcom, modlicielom i okazującym nam miłość serdecznie podziękować, bo mówi się, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. A w Słowie Bożym czytamy, że to, co siejemy, to będziemy żąć. Żniwa są zawsze wielokrotnością tego, co zasialiśmy. I tego właśnie doświadczamy na co dzień. To jest bardzo przyjemne uczucie i za tę prawdę jestem Bogu bardzo wdzięczna.

Przepraszam, że tym razem Samarytanka zostanie wysłana później. Zachęcam do zaprenumerowania na przyszły 2017 rok w tej samej cenie: 16,50 zł. Czekam też na Wasze świadectwa .

Życzę jak najwięcej radości z budowania przyjaznych kontaktów z wszystkimi ludźmi dobrej woli. Miłej lektury!

Honorata Wąsowska

Serce człowieka obmyśla jego drogę, lecz Pan kieruje jego krokami (Prz 16,9).

Bóg dał mi przyjaciółkę

Monikę poznałam w niezwykłych okolicznościach. To z całą pewnością było Boże prowadzenie! A było to tak...

W 2007 roku podczas mego pierwszego pobytu w Ugandzie zorganizowałam akcję wyposażenia domu dziecka „Home Again". Informacje na ten temat umieściłam w internecie na swoim blogu.

W tym samym czasie Monika w Polsce świętowała z rodziną chrzest swego narodzonego dziecka. Postanowiła, że pieniądze, które jej synek otrzyma w prezencie, przeznaczy na pomoc sierotom w Afryce.

Szukała więc w internecie organizacji, która pomaga dzieciom i natrafiła na mój blog. Napisała do mnie, że chciałaby przesłać pewną kwotę dla dzieci z domu dziecka w Ugandzie. Podałam jej numer konta i nasz kontakt się urwał na jakiś czas.

Po kilku tygodniach Monika napisała do mnie maila, bym podała jej adres mojego bloga, bo w żaden sposób nie może go znaleźć! Było więc to niezwykłym Bożym prowadzeniem, że ona akurat mnie znalazła w internecie, pośród tak wielu różnych wielkich akcji pomocowych. W tym czasie jej krewni i znajomi zniechęcali ją do przesłania pieniędzy do Ugandy, argumentując, że przecież ona mnie nie zna i że mogę być oszustką. Ona jednak czuła w sercu, że powinna tak postąpić, jak obiecała, pomimo sprzeciwu rodziny.

Potem korespondowałyśmy regularnie, a kiedy wróciłam do Polski, Monika często do mnie dzwoniła, aby rozmawiać o Panu Bogu. Nasze wielogodzinne rozmowy były skoncentrowane na Słowie Bożym oraz miłości do Boga i bliźniego. Dzieliły nas setki kilometrów, dlatego przez kilka lat nie spotkałyśmy się osobiście. Jej rodzina nieraz słyszała o mnie i o naszych rozmowach, lecz nie dowierzali, czy ta Honorata z opowieści Moniki jest prawdziwa. Mawiali: „Jak można mieć

przyjaciółkę, jeśli się jej nigdy w życiu osobiście nie poznało?" Nasza więź była mocna, bo łączyła nas miłość Boża i wiara w Pana Jezusa.

W 2012 roku na wiosnę nagle Monika wysłała mi sms-a: „Honia, módl się za mnie, bo jadę właśnie, by się ochrzcić w wodzie!" Byłam zaskoczona, bo nic nie wskazywało na to, że Monika podejmie taką decyzję, ale Duch Święty sam ją poprowadził. Od tamtej pory błyskawicznie zaczęła rosnąć w wierze. Czytała więcej Pisma Świętego, słuchała dużo kazań przez internet, śpiewem uwielbiała stale Pana Jezusa. Szybko została napełniona Duchem Świętym. Głosiła Ewangelię swoim znajomym i rodzinie. Wiele osób nawróciło się dzięki jej zwiastowaniu.

Pierwszy raz spotkałyśmy się w sierpniu 2012 roku – po pięciu latach kontaktu telefonicznego. Jaka to była radość! Jeszcze bardziej zbliżyłyśmy się do siebie. A jej rodzina i znajomi nareszcie uwierzyli, że ja istnieję naprawdę.

Kiedy Monika dowiedziała się o moim wypadku samochodowym w styczniu 2013 roku, modliła się o nowy samochód dla nas. Bóg jednak przekonał ją, by podarowała nam swój samochód, który otrzymała od męża: Toyotę RAV4. Kiedy nam o tym powiedziała, nie posiadaliśmy się z radości, że Pan spełnia nasze marzenie, bo ten samochód bardzo nam się podobał. Monika z mężem wiele razy nam pomagali na różne sposoby i byli dla nas błogosławieństwem. Modliliśmy się nawzajem za siebie i zachęcaliśmy do wiernego i radosnego podążania za Panem.

Niestety, w 2015 roku latem mieliśmy nieporozumienie, które ochłodziło nasze relacje na pewien czas. Jednak zrozumieliśmy, że to diabłu najbardziej zależy, by nas poróżnić, bo zbyt wiele dobrego działo się przez naszą relację. Przebaczyłyśmy sobie nawzajem i pojednałyśmy się. I znów tęsknimy za sobą i budujemy się nawzajem w miłości Bożej.

Przypomniało mi się wtedy pewne zdarzenie z 2012 roku, kiedy się spotkałyśmy pierwszy raz. Rodzinnie wszyscy razem wypoczywaliśmy w domku nad małym stawem i była tam łódka. Wsiadłyśmy razem do tej łódki, aby opłynąć

wysepkę. Na początku nie bardzo nam szło wiosłowanie, bo każda z nas próbowała to robić w inny sposób, ale w końcu zgrałyśmy się. To jest dobry przykład naszej relacji. To nieporozumienie było jakby wiosłowaniem każdej z nas w inną stronę, ale dzięki Panu Bogu znów zgodnie płyniemy w tę samą.

Pan Bóg obdarował Monikę darem proroctwa. Wiele razy otrzymywałam od niej trafne do mojej sytuacji Słowo prorocze, które pomagało mi przetrwać trudne chwile. **Był czas, kiedy to ja głównie dawałam duchowo w tej relacji. Monika była jakby moją córką duchową, lecz pewnego dnia stała się siostrą i partnerką w budowaniu Królestwa Bożego.** Bóg dawał jej wielokrotnie sny prorocze dotyczące mego życia i służby w Ugandzie. Był taki okres, gdy bardzo cierpiałam, bo ktoś, komu ufałam jak bratu, mnie zawiódł. Przez Monikę przyszło słowo wiedzy, że tę sytuację dopuścił Pan dla większego dobra. Jak bardzo mi to pomogło w pełni przebaczyć temu człowiekowi i nabrać dystansu do całej sprawy, gdyż dniem i nocą martwiłam się i płakałam.

Kiedy doświadczałam trudności macierzyństwa, Monika podnosiła mnie na duchu i przekazała Słowo prorocze dotyczące tego, kim będą moi synowie. Myślenie o tym pomaga mi w radosnym macierzyństwie.

Jaka byłaby dziura w moim życiu, gdyby nie było w nim Moniczki! Panie Jezu, dzięki Ci za nią! **Nasza relacja jest przykładem jak wypełnia się Słowo Boże: co człowiek sieje, to i żąć będzie. Przez pięć lat duchowo siałam w naszej relacji, lecz potem nastąpił zwrot i obecnie duchowo chyba więcej zyskuję.**

Przyjaźń jest wyzwaniem, bo jest połączona z poświęceniem i uniżeniem. Gdy nie ma wzajemnego usługiwania sobie, nie ma głębokiej przyjaźni. Trzeba nawzajem siebie dawać: *Miłością braterską jedni drugich miłujcie, wyprzedzajcie się wzajemnie w okazywaniu szacunku* (Rz 12,10). Dziękuję Panu Bogu z całego serca za dar przyjaźni z Moniką, bo bez niej moje życie byłoby o wiele uboższe! Ona stale mnie inspiruje, a jej przykład często mnie otrzeźwia, bo nie znam bliżej drugiej tak pracowitej i entuzjastycznej matki, żony i kobiety biznesu, a zarazem tak żarliwej w miłości do Jezusa osoby.

Ten opis dzielnej kobiety z Przypowieści Salomona 31 bardzo do niej pasuje: *Wstaje wcześnie, gdy jeszcze jest noc; daje żywność swoim domownikom. Pracą swoich rąk* [uprawia pole]. *Mocą przepasuje swoje biodra i rześko porusza ramionami. Otwiera swoją dłoń przed ubogim, a do biedaka wyciąga swoje ręce. Mąż jej jest w bramach szanowany. Dziarskość i dostojność jest jej strojem, z uśmiechem na twarzy patrzy w przyszłość. Gdy otwiera usta, mówi mądrze, a jej język wypowiada dobre rady. Czuwa nad biegiem spraw domowych, nie jada chleba nie zapracowanego.*

Monika kiedyś napisała mi: „Honiu, te słowa z Biblii oddają najbardziej to, co czuję: *dla mnie żyć - to Chrystus, a umrzeć - to zysk* (Flp 1,21)". Zupełnie to samo czułam i wyznawałam, gdy się nawróciłam! W wielu sprawach jesteśmy bardzo podobne, a w innych się różnimy. Dbamy jednak o naszą relację pomimo trudności, choć przyznam, że moje obowiązki czasem sprawiają, że dniami (tygodniami) nie zadzwonię lub nie napiszę do niej. Jestem jej wdzięczna, że jest dla mnie tak wyrozumiała.

Co by było, gdybym Monice nie poświęciła tych wielu setek godzin rozmów telefonicznych, rezygnując niejednokrotnie ze swego komfortu i odpoczynku? Nawet nie chcę o tym myśleć, tak cenna jest dla mnie nasza przyjaźń. Tym świadectwem chciałabym zachęcić do poświęcenia w bliższych relacjach z kobietami, które Bóg stawia na naszej drodze. Może dziś my im w jakiś sposób pomagamy i służymy, lecz przyjdzie dzień, kiedy zbierzemy swoje żniwo.

Julia Romanowa

Chciałam zrobić cokolwiek dla Boga

Chcę opowiedzieć wam o pewnej staruszce, która mieszkała w tym samym mieście co ja. Jej męża rozstrzelano za wiarę w Jezusa Chrystusa, a syn został zesłany na 10 lat do łagru, zaś ją samą wywieziono do obozu jenieckiego na terenie Niemiec.

Pewnego razu obudziłam się o drugiej w nocy i nie mogłam już zasnąć, a zwykle spałam dobrze. Pomyślałam: „Boże, dlaczego obudziłeś mnie w środku nocy, co chcesz mi powiedzieć?". I od razu przypomniał mi się wiersz o tym, jak jedna z kobiet oczekiwała gościa – Chrystusa, lecz zamiast niego przychodzili biedni, bezdomni, dzieci, to staruszka, to jeszcze ktoś inny, lecz wszystkich ich odsyłała pod pretekstem oczekiwania na wyjątkowego gościa. Zaczęły mi się przypominać słowa tego wiersza, kiedy w końcu przyszedł do niej Chrystus. Powiedział, że tyle razy przychodził do niej, lecz ona za każdym razem odsyłała Go, aby szukał gościny u innych.

Rozmyślałam o tym do rana, a kiedy wstałam, pomodliłam się i zrozumiałam, że powinnam zaopiekować się tą staruszką. Z samego rana pobiegłam ją odwiedzić i zapytać, czy zechce zamieszkać ze mną, bo wówczas będzie mi łatwiej się nią opiekować. **Staruszka miała 96 lat, była niewidoma i sparaliżowana. Zanim z pomocą znajomych przewiozłam ją do swojego domu, mieszkała w domu starców.** Trzeba było załatwić zgodę na opiekę w domu, na co musiała się zgodzić. Gdy ją o to zapytano, z radością wykrzyknęła: „Boże, czy to prawda, że usłyszałeś moją modlitwę i zabierzesz mnie z tego piekła?"

Przeżyła u mnie dwa i pół roku. Ten czas był dla mnie takim bogactwem życiowym, że trudno to opisać. Nieraz opowiadałam swoim znajomym, jaka jestem szczęśliwa, że ta

babcia jest ze mną. Oni patrzyli na mnie z niedowierzaniem, myśląc, jakie to może być szczęście opiekować się i doglądać ślepej i sparaliżowanej kobiety. A ja czułam, jakby to sam Chrystus u mnie gościł.

Babcia miała zamężną córkę i syna, którego zagryzły psy, kiedy nie nadążał za kolumną pędzonych ludzi. Ciągle opowiadała mi o obozie w Niemczech, do którego ją zabrano. Nocą wraz z współwięźniami postanowiła uciec z obozu. Kiedy doszli do jakiejś stajni, żeby przenocować, znaleźli worki pełne czegoś miękkiego. Przespali się, rano zajrzeli do worków i zobaczyli, że były one wypełnione ludzkimi włosami.

Po powrocie do Rosji poświęciła swoje życie służbie wśród uwięzionych. Chodziła po wsiach i zbierała, kto co dał: trochę sucharów, kawałeczek słoniny, mydło. Czasy były bardzo ciężkie. Co zebrała, zawoziła uwięzionym braciom.

I tak żyłam z nią – niewidomą, która nie rozróżniała dnia od nocy; przespała się, pomodliła – wszystkich wspominała w swojej modlitwie i ciągle śpiewała na chwałę Panu. Taką ją zapamiętałam – modlącą się i śpiewającą. Kiedy osłabła i poczuła się gorzej, prosiłam Boga, żeby ją jeszcze zostawił z 10 lat, bo była dla mnie wielkim błogosławieństwem. Te dwa i pół roku przeminęły jak dwa tygodnie. Z wielką ochotą i radością opiekowałam się babcią, widząc, jak jest zadowolona i radosna.

Zauważyłam, że Bóg chce ją zabrać i prosiłam Go, aby uczynił to 14 września (tego dnia odeszła niegdyś moja mama). Przyjechała wówczas do mnie siostra z mężem, aby odwiedzić staruszkę. Ona spokojnie leżała i nic nie wskazywało na jej odejście. Kiedy oni chcieli już odjeżdżać, poprosiłam, aby zaczekali, bo mam im coś do powiedzenia. Powiedziałam, że Maria Jakowlewna odejdzie dziś do wieczności. Poprosiłam męża mojej siostry:

- Grisza, pojedź ze mną do siostry, która zawsze pomagała mi kąpać i przebierać babcię, niech tutaj przyjedzie i pomoże mi doprowadzić wszystko do porządku.

Grisza odezwał się do żony:

- Julia, ja nigdy w życiu nie słyszałem czegoś takiego – człowiek leży sobie spokojnie, a tu już chcą przygotować mu pochówek.

Kiedy wróciliśmy, córka powiedziała, że 5 minut po naszym wyjściu babcia odeszła:

- Usłyszałam szum skrzydeł, ale nic nie widziałam i zrozumiałam, że to aniołowie przylecieli po babcię. Kiedy podeszłam do niej i nachyliłam się, ona otworzyła szeroko oczy, uśmiechnęła się do mnie, zrobiła głęboki wdech i zamknęła oczy.

Pochowaliśmy ją jak przystało na chrześcijankę. **A ja poświęciłam swój czas na głoszenie Słowa wśród więźniów, za co byłam skazana na 4 lata więzienia. Ale i tam byłam potrzebna, aby zanieść Dobrą Nowinę. Bóg otwierał serca młodych kobiet, narkomanek i prostytutek. Uwalniał ich od grzechu. Wspominały, jak ich matki modliły się o nie, przypominały sobie słowa psalmów śpiewanych przez matki, że Bóg jest żywy i wszystko może. Dopiero tutaj, w więzieniu, słowa te ożyły i nabrały mocy.**

Drogie mamy, siostry w Jezusie Chrystusie, mówcie swoim dzieciom, że Bóg jest jeden i ma wielką moc, że On nas kocha takimi jakimi jesteśmy – przybliżcie się do Niego, a On was wysłucha i zbawi. Bóg nie ma względu na osobę: wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga, za co chwała Mu na wieki! Alleluja!

Julianna Fusek

Ale jak mam kochać Boga?

Nieraz słyszy się kogoś mówiącego, że kocha Boga. Ale czy to jest tylko deklaracja słowna, czy za nią idą konkretne czyny? No właśnie, jak możemy w praktyczny sposób okazać, że kochamy Boga?

Niedawno przeczytałam książkę pod właśnie takim tytułem: ... *ale jak mam kochać Boga?* Napisał ją Charles W. Colson, będący w latach 1969-1973 r. specjalnym doradcą prezydenta Nixona. Był zamieszany w słynną aferę Watergate, za co został skazany i 7 miesięcy przebywał w więzieniu. Ten pobyt zmienił całkowicie jego spojrzenie na świat i życie. Powierzył swoje życie Jezusowi Chrystusowi, a po wyjściu na wolność założył Wspólnotę Więzienną - organizację niosącą pomoc duchową i prawną dla więźniów, walczącą o godne warunki odbywania kary przez więźniów oraz pomagającą więźniom po odbyciu kary powrócić do normalnego życia.

W książce autor wskazuje przede wszystkim na Słowo Boże, stwierdzając, że jest ono podstawą naszego chrześcijańskiego życia, gdyż przez nie przemawia do nas Bóg, ucząc nas, jak mamy żyć i postępować.

Jeżeli kogoś kochamy, chcemy postępować tak, by mu się podobać. Chcemy go zadowolić w możliwie jak najpełniejszy sposób: nie tylko poprzez słowne deklaracje o miłości. Tak samo wierzący powinien okazywać Bogu miłość poprzez postępowanie zgodne z Jego wolą objawioną w Piśmie Świętym, a nie tylko poprzez słowne wyznawanie.

Colson pisze również, że grzech jest tak głęboko zakorzeniony w nas, że niektórzy myślą, że możemy pozostać tym, kim jesteśmy – nawet po zaproszeniu Pana Jezusa do swojego serca. Jednak takie podejście jest niemożliwe, gdyż wtedy musi nastąpić nawrócenie tj. odwrócenie się od popełnianych do tej pory grzechów i rozpoczęcie życia według Bożej woli. Jeżeli człowiek uświadomi sobie, że za grzechy czeka go jedynie kara spędzenia wieczności w piekle i jeżeli odczuje, że dzięki zastępczej śmierci Pana Jezusa na krzyżu jego grzechy zostały przebaczone, z pewnością przeżyje ogromną wdzięczność dla Boga, a tę wdzięczność może okazać jedynie poprzez święte życie.

Powinniśmy także stosować Bożą sprawiedliwość, a także Boże miłosierdzie w stosunku do tych, którzy wobec nas zawinili. Możemy także działać we wszystkich dziedzinach życia, lecz powinniśmy w swej działalności kierować się Bożymi zasadami. Jeżeli prawo ustanowione przez ludzi jest sprzeczne z prawem Bożym, możemy wybrać kierowanie się prawem Bożym.

Człowiek wierzący, chcąc okazać miłość do Boga, powinien okazywać miłość do ludzi, do konkretnego człowieka – wykonując uczynki miłości, czyli to, czego w konkretnej sytuacji dany człowiek najbardziej potrzebuje.

Książka Charlesa W. Colsona jest pełna przykładów takiej postawy. Jest to bardzo wartościowa książka wskazująca nam, jak w praktyczny sposób możemy okazywać miłość – do Boga, a przez to i do ludzi. Przecież Bóg kocha ludzi! Chce okazywać tę miłość poprzez swoje dzieci, poprzez tych, którzy oddali Mu swoje życie, stawiając się tym samym do dyspozycji Bogu.

Halina

Jak pokochać zięcia?

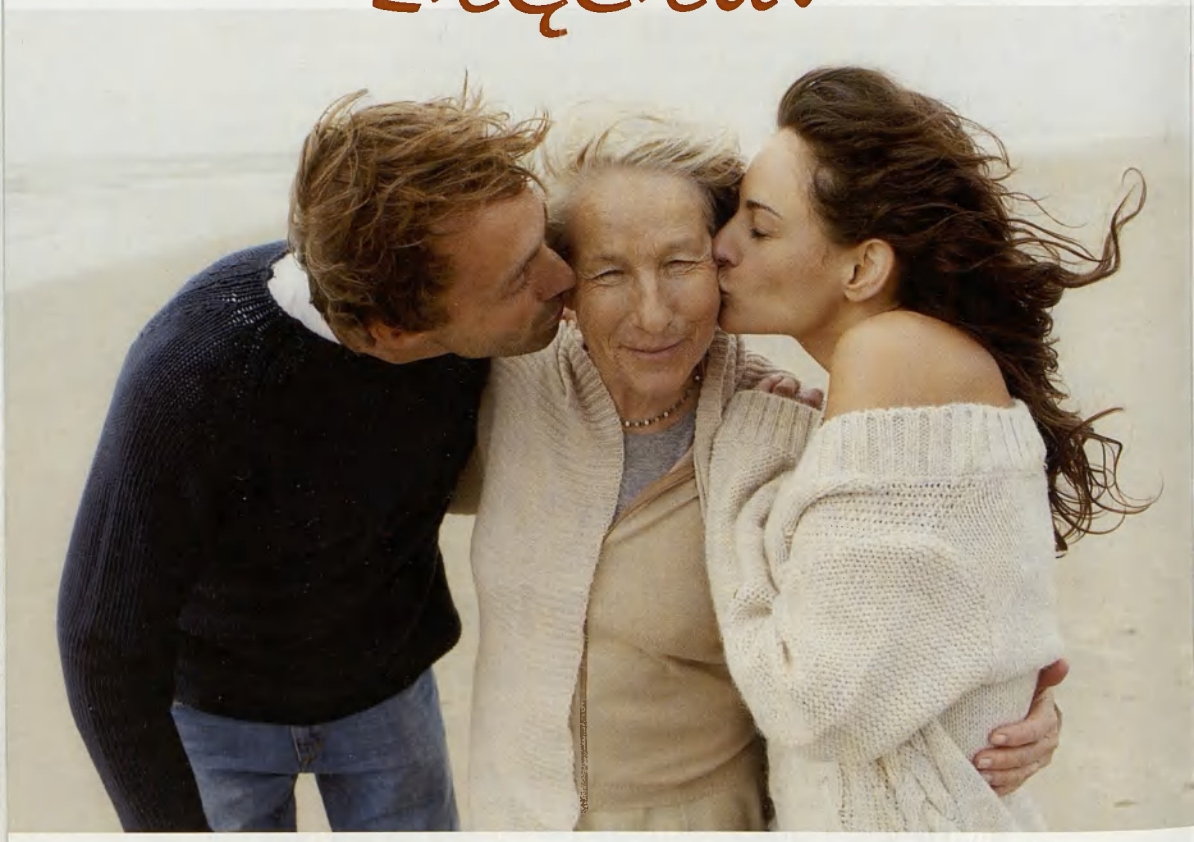

Chciałabym podzielić się świadectwem, w którym Bóg uczy, jak pokochać osobę, która wydaje się nam nieodpowiednia, bo swoimi oczami widzimy w niej same wady...

Ale zacznę od początku. Kiedy zmarł mój mąż, a było to prawie 11 lat temu, zostałam z córką sama: starszy syn założył już rodzinę i mieszkał osobno. Córka była wtedy panną, a ja, jak każda matka, chciałam, żeby wyszła za mąż za człowieka wierzącego, który będzie się podobał zarówno jej, jak i mnie.

Niedługo potem zaczął przychodzić do mojej córki chłopak ze zboru. Wcale mi się nie podobał. Nie mogłam zaakceptować go takim, jakim był, widziałam w nim same wady, ale pomyślałam sobie, że może jak trochę ze sobą pochodzą i poznają się lepiej, córka na pewno zauważy to wszystko, co ja widzę i się rozstaną.

Rozmawiałyśmy dużo na ten temat, ale żadne argumenty nie docierały ani do mojej córki, ani do mnie. Bóg znał moje rozterki i wątpliwości, znał mnie w pełni i tylko On wiedział, jak do mnie dotrzeć. Wiedział też, że mój mąż był dla mnie autorytetem i przez niego może dotrzeć do mojego wnętrza.

Pewnej nocy Bóg dał mi sen. Przyśnił mi się mój mąż, jak siedział przy stole w naszym pokoju i czytał Biblię. Razem z córką siedziałyśmy na wersalce i półgłosem dyskutowałyśmy o Tomku. Przedstawiałam jej swoje argumenty na „nie", ona mi swoje na „tak". W pewnym momencie zauważyłam w jej oczach chwilę zwątpienia i niepewności. Nagle mój mąż głośno zamknął Biblię, energicznie wstał i, kierując się w stronę drzwi, powiedział do córki: „Agatko, mamie nic się nie podoba".

Wtedy obudziłam się, zerwałam z łóżka i uklękłam. Zaczęłam przepraszać Boga, że może On chce dać mojej córce to, co najlepsze, a ja chcę to zniszczyć. Ze łzami w oczach prosiłam Boga, żeby zaczął mnie zmieniać i dał mi miłość, nie ludzką, ale Bożą, abym mogła odnaleźć dobre cechy w chłopaku, z którym spotyka się moja córka i który, być może, będzie moim zięciem. Od tego czasu codziennie chodziłam z tą modlitwą na ustach i w sercu. Bóg zaczął uczyć mnie akceptacji i zrozumienia, dostrzegać w Tomku dobre cechy i przede wszystkim traktować go jak syna.

W październiku 2006 r. Tomek zrobił mojej córce urodzinową niespodziankę - zaprosił do naszego mieszkania młodzież, kupił piękne kwiaty i pierścionek, i przy wszystkich poprosił ją o rękę. Ona, oczywiście, się zgodziła, ja też. W czerwcu 2007 r. wzięli ślub. Są szczęśliwym małżeństwem, mają dwoje dzieci. Mieszkamy razem. Każdego dnia Bóg daje mi miłość, uczy cierpliwości, akceptacji i wspólnego zrozumienia.

Pewnego razu, już jakiś czas po ślubie córki, podszedł do mnie w kościele młody człowiek i powiedział: „Muszę coś cioci powiedzieć. Wczoraj na spotkaniu młodzieżowym rozmawialiśmy o różnych rzeczach, w końcu zaczęliśmy żartować z pani - teściowej Tomka. Tomek przerwał nam nasze żarty i powiedział, że on nie ma teściowej, tylko mamę".

Bardzo mnie podbudowało to, że w oczach Tomka jestem mamą. Cieszę się, że moja córka ma dobrego, wyrozumiałego i pomocnego we wszystkim męża.

Bóg jest z nami każdego dnia. Odczuwamy Jego obecność. Odpowiada na nasze modlitwy. Warto *zaufać Panu z całego swojego serca, nie polegać na własnym rozumie, a On wszystko dobrze uczyni.*

Jolanta Ziółkowska

CZY BÓG MNIE SŁYSZY?

Listopad 1987. W przeddzień wyjazdu mojego męża do pracy w kopalni nasz roczny synek, Przemek, zaczął nagle wymiotować, dostał temperaturę i zrobił się pergaminowo biały. Za chwilę był już nieprzytomny. Przerażeni zawieźliśmy go do szpitala. Lekarze podejrzewali zapalenie opon mózgowych i wzięli go na oddział zakaźny, na którym nie ma odwiedzin. Jacek musiał wracać na Śląsk. Przyjeżdżał raz na kwartał do Wilkowic (koło Włocławka), gdzie mieszkaliśmy z moimi rodzicami.

Przemek chorował z przerwami przez kolejne trzy miesiące. Był to dla mnie szczególnie trudny czas, bo Jacek był 400 km od domu, a ja czułam się samotna i bezsilna. Akurat w tym czasie trafiła do naszego domu kopia obrazu częstochowskiego. Klęczałam przed nim przez całą noc i modliłam się, żeby Przemek był zdrowy. *Czy Bóg mnie słyszy?* Pytanie to towarzyszyło mi od najmłodszych lat...

Urodziłam się jako szóste dziecko w rodzinie tradycyjnie katolickiej. Jak daleko sięgam pamięcią, rodzice prowadzili nas do kościoła i przekazali nam Boga, który był na obrazie. Nieraz, już jako dziecko, patrząc na obraz lub na krzyż, zastanawiałam się nad tym, czy On mnie widzi i czy naprawdę jest mną zainteresowany. Byłam nauczona, że poprzez uczynki możemy zasłużyć sobie na Bożą aprobatę, a nawet na niebo, starałam się więc postępować dobrze. Brałam udział w różnego rodzaju procesjach, nosiłam różaniec, stroiłam ołtarz itp. Wydawało mi się, że za każdym razem wspinam się o jeden szczebelek wyżej po drabince z czyśćca do nieba. W ten sposób dorastałam.

Przyszedł kwiecień 1985 – wyszłam za mąż za Jacka. Rok później urodził nam się Przemek. Nasze życie toczyło się w miarę spokojnie. Jako ta, która regularnie uczestniczy w mszy świętej, byłam jakby na „wyższej pozycji" w naszym małżeństwie, gdyż Jacek nie chodził do kościoła.

Uważałam się za odpowiedzialną za sprawy religijne w naszej rodzinie. Przemka zabierałam do kościoła od najmłodszych dni.

W maju 1987 Jacek wyjechał na Śląsk i podjął pracę w kopalni. Zaczął też szukać dla nas mieszkania. Po trzech miesiącach odwiedził nas pierwszy raz w Wilkowicach. Wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Mój mąż, który właściwie nie interesował się sprawami religijnymi, powiedział mi, że Jezus nie widnieje tylko na obrazie, ale jest nami zainteresowany i może zmienić nasze życie.

Zapytałam go, gdzie coś takiego usłyszał. Jacek opowiedział mi o koledze z pracy, który chodzi do kościoła zielonoświątkowego. Pomyślałam: „Co to jest? Jakiś nowy kościół? Oprócz katolików, kilku ewangelików i świadków Jehowy, nie ma przecież innego wyznania!". Byłam przekonana, że Jacek trafił do jakiejś sekty. Nie chciałam słuchać tego, co mówił. Powiedziałam mu tylko, żeby tam lepiej nie chodził.

Klękając przed obrazem Marii i prosząc o zdrowie dla Przemka, przypomniały mi się słowa Jacka o żywym Bogu. Jednak nie bardzo wiedziałam, co o tym myśleć. Skąd Jacek mógłby znać prawdę? Przecież nie chodził do kościoła i nie mógł być obeznany z tematem Boga. Czułam się pewniej w tym, w czym się wychowywałam, chociaż nie znałam odpowiedzi na pytanie, czy Bóg mnie faktycznie słyszy, widzi, kocha...

Kilka miesięcy później Jacek znalazł mieszkanie w Cieszynie, gdzie mogliśmy wynająć dwa pokoiki. Bardzo się ucieszyliśmy, że po długiej rozłące będziemy znowu razem. Jadąc do Cieszyna, nie wiedziałam jeszcze, że jestem w ciąży z drugim dzieckiem. Po kilku miesiącach urodziła się Magda. W tym czasie Jacek oddał swoje życie Jezusowi.

Kiedy mi o tym opowiedział, nie ucieszyłam się. Uraziło mnie to i nawet pomyślałam, żeby się z nim rozwieść. Bałam się, że skoro tak lekko potrafił zrezygnować z kościoła katolickiego i przejść do kościoła zielonoświątkowego, to równie szybko mógłby znaleźć sobie inną żonę... Pomyślałam: „Jeśli ktoś ma zakończyć nasze małżeństwo, to niech będę to ja!". Dałam mu do zrozumienia, że jeśli będzie dalej uczęszczał do kościoła zielonoświątkowego, to od niego odejdę. Jacek powiedział wtedy, że w takim razie nie będzie chodził nigdzie. Nie chciałam też żadnych rozmów na temat jego „nowej wiary".

Mojego męża zaczął odwiedzać Bogdan – kolega, który opowiedział Jackowi o Jezusie. Często nasze rozmowy schodziły na temat wiary, a ja nigdy nie umiałam mu powiedzieć, że w tym domu jest to temat tabu. Bogdan nieraz opowiadał o swoich doświadczeniach z Bogiem. Czułam się nieprzyjemnie i zaczęłam bronić kościoła katolickiego. Pamiętam, jak zapytał mnie, czy znam dziesięć przykazań. Jak mogłam nie znać! Zaczęłam je recytować, a on: „Nieprawda, drugie przykazanie brzmi inaczej" i przeczytał mi z Pisma Świętego, co tam jest napisane.

Prawie za każdym razem zostawiał mnie z różnymi pytaniami i coraz bardziej zaczęły mnie one nurtować. Kiedyś zapytał mnie, co podoba mi się w kościele katolickim. Zaczęłam się zastanawiać: „Ładna msza, procesja...". A wtedy Bogdan zapytał: „Jaki to ma wpływ na twoją relację z Bogiem? Jak to zmienia twoje życie?". Nigdy wcześniej o tym nie myślałam. Zawsze wydawało mi się, że wystarczy sam fakt, że należę do jedynego prawomyślnego kościoła.

Podczas naszych rozmów Bogdan wielokrotnie pokazywał mi, co Biblia mówi na różne tematy. Nieraz poruszał tylko jedną myśl i odchodził, a w mojej głowie pozostawało to na długo.

Chociaż Jacek nie rozmawiał ze mną o Bogu, zauważyłam u niego zmiany. Zastanawiałam się, jak to może być, że ja – wierząca praktykująca katoliczka – zachowuję się czasami bardzo niewłaściwie, a Jacek, który do kościoła nie chodzi, jest w stanie powiedzieć: „Przepraszam" i przyznać się do błędu.

Jeżeli coś wyprowadziło mnie z równowagi, umiałam być bardzo niemiła i używać słów, których nie wypada powtarzać. Często miałam świadomość, że posunęłam się za daleko w swoich słowach, ale przed moim mężem nie potrafiłam się do tego przyznać. Kiedy Jacek usłyszał ode mnie bardzo dużo przykrych słów i widocznie nie mógł już znieść więcej, nie odpowiadał mi w ten sam sposób, lecz wychodził z domu. Potem wracał, był dla mnie miły i traktował mnie tak, jak gdyby nic się nie stało. Zazdrościłam mu tego spokoju i radości, które z niego emanowały.

Nadal uczęszczałam do kościoła i brałam udział we wszystkich obrządkach, jednak coraz częściej zastanawiałam się, czy to, co robię, jest dobre. Bogdan przeczytał mi z Pisma Świętego: *Nie czyń sobie podobizny rzeźbionej (...) i nie będziesz się temu kłaniał.* Kiedy później klękałam w kościele, te słowa dźwięczały w moich uszach...

Przypomniała mi się także noc, którą spędziłam przed obrazem Marii, błagając o zdrowie dla Przemka. Bogdan zapytał mnie, w którym miejscu Biblia zachęca nas do modlitwy do obrazów. Powiedział mi, że jest to bałwochwalstwem i nie podoba się Bogu. Wtedy Jacek przyznał, że jadąc tego listopadowego dnia z Przemkiem do szpitala, modlił się w swoim sercu: „Boże, jeżeli naprawdę jesteś, to zostaw nam Przemka". W tym momencie nasz synek zaczął płakać,

co było dla Jacka znakiem, że Bóg istnieje i Przemek będzie żył.

Czułam się wewnętrznie coraz bardziej rozdarta. Trwało to prawie dwa lata. Zaczęłam pytać Boga, jak to wszystko naprawdę ma wyglądać, bo nie umiałam tego sobie poukładać. To, co Bogdan mi mówił i czytał z Biblii, wydawało mi się logiczne. Chociaż ciągle broniłam kościoła katolickiego, uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nie znam Boga, tylko tradycję. Brałam udział w drodze krzyżowej, ale nie rozumiałam, co na tym krzyżu się wykonało. Pisma Świętego nigdy nie czytałam. Nie wiedziałam, jaki Bóg naprawdę jest.

Dowiedziałam się również, że nie ma czyśćca, co pozbawiło mnie całej nadziei na niebo. Czułam się zrozpaczona i oszukana. Napracowałam się tyle lat na ten czyściec, a tu nagle okazuje się, że go nie ma! Bogdan powiedział mi wtedy, że ma dla mnie lepszą wiadomość. Przeczytał mi z Biblii: *Łaską zbawieni jesteście przez wiarę, i to nie z was: Boży to dar; nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił* (Ef 2,8-9).

To oznaczałoby, że nie muszę zasłużyć sobie na niebo, ale *z łaski* mogę żyć wiecznie! Na początku tego nie zrozumiałam. Jak *z łaski*? Przecież tak nie może być! Trzeba coś robić! Bogdan tłumaczył: „Pan Jezus tak bardzo cię kocha, że umarł za twoje grzechy i daje ci zbawienie, nie oczekując żadnych uczynków z twojej strony. Masz tylko wziąć zbawienie z Jego ręki". Moją pierwszą myślą było: „Nie chcę tylko wziąć, chcę za to zapłacić".

Wtedy przypomniały mi się słowa mojego taty, który wrócił kiedyś z targu i opowiedział bardzo dziwną sytuację. Tego dnia zostało mu dużo towaru, a miał już dosyć handlowania. Chciał rozdać pozostałą kapustę za darmo. Ludzie podchodzili i pytali: „Po ile jest główka?", a tata odpowiadał: „Za darmo". Każdy spojrzał tylko na niego i odchodził! Nikt nie wziął kapusty! Dlatego odpowiedział kilku kolejnym ludziom, że kapusta jest po złotówce. Wtedy zaczęli ją kupować.

Teraz widziałam w tym pewną prawdę: jeżeli coś jest za darmo, nikt tego nie chce. Natomiast jeśli można zapłacić, chociażby symbolicznie, to każdy jest chętny. Tak samo było u mnie: dobre uczynki dawały mi poczucie własnej sprawiedliwości. Rzeczywiście byłam niesamowicie dumna z tego, że jestem taka dobra, że pamiętam o chorych i wszystkich potrzebujących w okolicy itd. A tu Bóg mówi: *z łaski, aby się nikt nie chlubił!*

Kiedy Jacek był w pracy, czasami sięgałam po jego Biblię i czytałam. Coraz bardziej interesowało mnie też, jak wygląda nabożeństwo w kościele zielonoświątkowym, ale ponieważ wcześniej powiedziałam, że nigdy do tego kościoła nie pójdę, było mi trudno...

Pewnego popołudnia szliśmy na spacer do miasta i usiedliśmy na ławce na rynku. Przyszedł akurat Bogdan ze swoją żoną. Krysia zaprosiła mnie na nabożeństwo i powiedziała: „Chodź z nami. Co ci szkodzi?". Dałam się przekonać i poszłam pierwszy raz do zboru.

Najpierw był śpiew uwielbiający Boga, potem kazanie pastora. Słuchając go, czułam, jakby opowiadał o moim życiu! Pod koniec kazania powiedział: „Jeśli jest tu osoba, która chciałaby powierzyć swoje życie Bogu, niech przyjdzie do przodu". Pomyślałam sobie: „Nie wyjdę do przodu!". Chociaż w tym momencie było już jasne, że chcę należeć do Jezusa, ale nie chciałam tego pokazać. Moja duma nie pozwalała mi przyznać się do tego, że potrzebuję Boga i Jego przebaczenia jak ziemia deszczu.

Pastor wtedy powiedział, że będzie się modlił i ci, którzy się zgadzają, niech powtarzają modlitwę za nim. Pomodlił się i ja,

stojąc w ławce, powtórzyłam jego słowa w swoim sercu, zapraszając w ten sposób Jezusa Chrystusa do mojego życia. Czułam, jak radość i wolność rozprzestrzeniały się we mnie. Wręcz nosiło mnie, aby o tym powiedzieć Jackowi. Oboje ogromnie się ucieszyliśmy. Jacek przyznał, że długo prosił Boga o to, żeby nastał ten dzień i byśmy mogli być razem w kościele. To było jesienią.

Uczestniczyliśmy w grupach domowych – spotykaliśmy się u kogoś w domu, czytaliśmy Pismo Święte i rozmawialiśmy o danym tekście. Modliliśmy się też razem o różne rzeczy, które nas dotykały. Dla mnie jednym z najważniejszych tematów była modlitwa o uwolnienie od nałogu palenia papierosów. Byłam nałogowym palaczem. Jackowi bardzo przeszkadzało moje palenie. Sam kiedyś palił, ale Pan Bóg go od tego uwolnił. Dlatego chciał, żebym się modliła o to. Rzucenie papierosów wydawało mi się jednak zbyt trudne i powiedziałam: „Jeśli nie dostanę od Boga po głowie, to nie zrezygnuję z papierosów". Starałam się modlić o uwolnienie, lecz według mojego uznania Bóg nie musiał się z tym śpieszyć...

Pamiętam, jak pewnego wieczoru wróciliśmy z czwartkowego nabożeństwa do domu. Po kolacji położyliśmy dzieci do łóżek, potem usiadłam wygodnie w fotelu i sięgnęłam po papierosa. Tego dnia na nabożeństwie pastor modlił się ze mną o uwolnienie od nałogu... Kiedy zapaliłam papierosa, coś mi się stało. Poczułam uderzenie w głowę i zrobiło mi się niedobrze. Pociągnęłam jeszcze raz i poczułam odruch wymiotny. Zgasiłam papierosa. Jacek mnie obserwował, uśmiechnął się i powiedział: „Nie wiesz, co się stało? Bóg cię uwolnił! Nie musisz już palić!".

Nie spodziewałam się, że tak to będzie wyglądać! Dym papierosowy był dla mnie nagle tak nieznośny, że jeszcze tego wieczoru musiałam ściągać firanki do prania. Wszystko śmierdziało mi dymem. Nie pozwoliłam już nikomu u nas zapalić. Przez jakiś czas zapach papierosów powodował, że chciało mi się wymiotować. Później się to uspokoiło, ale papieros, który zgasiłam tego czwartkowego wieczoru, był moim ostatnim. Od tego momentu minęły ponad 22 lata. Wiem, że rzeczywiście Bóg zabrał mi ten nałóg.

Po moim nawróceniu zaczęłam regularnie czytać Pismo Święte. Poznawałam przez to Boga coraz bliżej. Na początku fakt, że oddałam swoje życie Panu Jezusowi, wcale nie wiązał się dla mnie z rezygnacją z kościoła katolickiego. Przez pierwsze tygodnie chodziłam i do kościoła, i do zboru. Zaczęłam jednak w kościele odczuwać zimno i obcość. Chociaż byłam członkiem tego kościoła i uczestniczyłam regularnie w mszach, to równocześnie czułam się anonimową, nikomu nieznaną osobą. W zborze było całkiem inaczej. Łączyły nas serdeczne relacje, ale przede wszystkim wiedziałam, że Bóg zna mnie po imieniu i interesuje się mną, że nie widnieje tylko na obrazie.

Z biegiem czasu stało się niemożliwe, bym mogła zostać w kościele. Chciałam koniecznie powiedzieć o tym mamie i rodzeństwu, lecz bardzo się bałam, że rodzina mnie przekreśli. Mimo to chciałam być szczera, również ze względu na Boga. Tata już wtedy nie żył. Zaprosiłam mamę na Święta Bożego Narodzenia do nas. Nie planowałam jej jednak powiedzieć o moim nawróceniu podczas jej pobytu u nas, tylko później, kiedy odwiozę ją do domu. Bałam się, że się spakuje i od razu wyjedzie. Miałam także zamiar chodzić z nią do kościoła, póki będzie u nas.

W domu mamy skrzyneczkę z wersetami biblijnymi. Przed przyjazdem mamy wyciągnęłam jeden z nich i przeczytałam: *Nie troszczcie się, jak i co macie mówić, albowiem będzie wam dane w tej godzinie, co macie mówić* (Mt 10,19). Trochę mnie to uspokoiło. Mama przyjechała i spędziliśmy ze sobą

miły wieczór. Na drugi dzień rano mama wysłała Jacka z dziećmi na spacer i chciała ze mną porozmawiać. Widziałam, że jest czymś podenerwowana.

Usiadłyśmy w kuchni, a mama od razu: „Powiedz mi, gdzie ty chodzisz do kościoła?!". Przypomniał mi się werset z poprzedniego dnia i w duchu tylko westchnęłam: „Boże, ratuj!". Mama jeszcze nie skończyła: „Rano leżę tak sobie w łóżku z Przemusiem i rozmawiamy, a on mi mówi: babciu, jak bolą cię ręce, to musisz jechać z nami do kościółka i wyjdzie pastor, będzie się o ciebie modlił i zostaniesz uzdrowiona!".

Kiedy mama usłyszała słowo „pastor", a nie „ksiądz", od razu zaczęła podpytywać czteroletniego Przemka. Tłumaczył jej, że jeździmy do zboru w Cieszynie... Słuchając mamy, wiedziałam, że przyszedł moment, by jej wszystko wytłumaczyć.

Zaczęłam od tego, że od pewnego czasu już nie palę. Oczywiście, zauważyła to, ale myślała, że po prostu nareszcie sama zdecydowałam się na rzucenie papierosów. Tata zmarł na raka płuc, więc dla niej papierosy były czymś szczególnie negatywnym i bardzo zależało jej na tym, żebym nie paliła. Powiedziałam jej, jak odbyło się to w rzeczywistości. Potem wyjaśniłam jej moją długą drogę do Boga, z którym miałam teraz osobistą relację. Opisałam jej, jak zmieniło się nasze życie – moja relacja z Jackiem, że już nie naskakuję na niego, lecz trzymamy się razem i że dzieci w takiej atmosferze też całkiem inaczej funkcjonują.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu mama nie pogniewała się na mnie. Wysłuchała mnie i chociaż była sceptycznie nastawiona, nie odwróciła się ode mnie. Była wtedy przez kilka tygodni u nas. Podobało się jej, że modlimy się przed posiłkami oraz z dziećmi, zanim kładły się spać. Lubiła pieśni, które śpiewaliśmy z nimi i nawet zaczęła śpiewać razem z nami. W pewnym momencie dała się też zaprosić do zboru, również dzięki Przemkowi. Podobało jej się nabożeństwo i kazanie. Zaczęła regularnie z nami jeździć. Niedługo także oddała swoje życie Panu Jezusowi.

W kolejnych miesiącach i latach doświadczaliśmy różnych cudów w odpowiedzi na nasze modlitwy. Pamiętam czas, kiedy Jacek był przez 14 miesięcy na chorobowym i to spowodowało, że mieliśmy poważne kłopoty finansowe. Pewnej soboty, patrząc przez okno, zobaczyłam, że przyjechała moja siostra ze szwagrem, córką i moją mamą! Byłam przerażona: cztery osoby, które trzeba ugościć, a w lodówce mieliśmy tylko światło i trochę lodu... Zastanawialiśmy się, od kogo najszybciej pożyczyć pieniądze. Mama już weszła do domu i prosiła, żeby Jacek pomógł im się wypakować. Za chwilę Jacek zawołał, że potrzebuje klucza od piwnicy. Okazało się, że moja rodzina przywiozła mąkę, ziemniaki, słoiki z ogórkami, jajka, mięso, wędlinę, chleb, masło swojej roboty i ciasto! Widząc to wszystko, rozpłakałam się. Powiedziałam mamie: „Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że Bóg was tutaj przysłał?". Wcześniej czytaliśmy z Jackiem różne wersety z Biblii, w których była mowa o tym, *że sprawiedliwemu nie zabraknie chleba* i mamy patrzeć na ptaki – *nie sieją ani żną, a Bóg je żywi*. Na podstawie tych wersetów modliliśmy się o Bożą pomoc w naszej sytuacji. Chcieliśmy wierzyć Jego Słowu. I faktycznie spełniła się obietnica, że On jako kochający Ojciec zatroszczy się o swoje dzieci!

Do dnia dzisiejszego nie żałowałam nawet przez sekundę, że poszłam za Jezusem. Była to najlepsza decyzja mojego życia. Nawet nie chcę zastanawiać się nad tym, gdzie byłabym, gdyby nie Boża łaska. Dziękuję Bogu także za to, że nasze dzieci również Go kochają.

Kobieta

Kiedy Bóg tworzył kobietę,
pracował do późna szóstego dnia.
Przechodził obok anioł i zapytał: „Dlaczego
poświęcasz tyle czasu właśnie temu dziełu?"
A Pan odpowiedział:
„Czy zauważyłeś wszystkie szczegóły,
jakie muszę uwzględnić, żeby ją ukształtować?"

„Musi być zmywalna, choć nie zrobiona z plastyku,
mieć więcej niż 200 ruchomych części, które mają
być wymienialne i musi funkcjonować
na wszelkiego rodzaju pożywieniu;
musi być zdolna objąć kilkoro dzieci na raz,
przytulić tak, by uzdrowić, co jest do uzdrowienia
– od stłuczonego kolana do złamanego serca,
a to wszystko musi zrobić tylko dwiema rękami."
„Tylko dwiema rękami... niemożliwe!
I to jest model standardowy?!
To zbyt wiele pracy jak na jeden dzień...
Jutro dokończysz".

„Nie będę czekać do jutra", powiedział Pan.
„Jestem już tak bliski ukończenia tego dzieła.
Stanie się najmilsze mojemu sercu.
Ona sama siebie leczy, kiedy zachoruje
i potrafi pracować 18 godzin dziennie".

Anioł podszedł bliżej i dotknął kobiety.
„Ale uczyniłeś ją taką miękką, Panie".
„Jest miękka", powiedział Pan.
„Lecz uczyniłem ją także silną.
Nie wyobrażasz sobie nawet, co potrafi znieść
i ile pokonać".
„Czy ona potrafi myśleć?", zapytał anioł.
Pan odpowiedział:
„Nie tylko potrafi myśleć, ale potrafi
przekonywać i pertraktować".
Anioł dotknął policzka kobiety...
„Panie, zdaje się, że to dzieło przecieka!
Zbyt dużo nałożyłeś na nią ciężarów".
„Ona nie przecieka... To łza", poprawił Pan anioła.
„Łza? A co to takiego?", zapytał anioł.

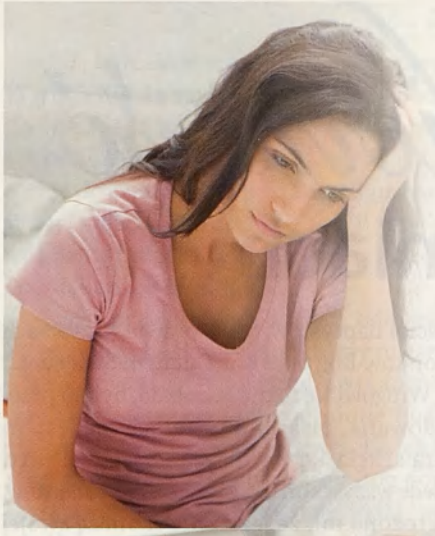

Pan odpowiedział:
„Łzy są jej sposobem wyrażania smutku,
wątpliwości, miłości, samotności, cierpienia
i dumy".
To zrobiło duże wrażenie na aniele.
„Panie, jesteś geniuszem.
Pomyślałeś o wszystkim. Kobieta jest naprawdę
cudowna!"

Rzeczywiście jest!
Kobieta posiada siłę, która zadziwia
mężczyznę. Potrafi radzić sobie
z kłopotami i dźwigać ciężkie brzemię.
Ma w sobie szczęście, miłość i przekonania.
Uśmiecha się, gdy chce jej się krzyczeć.
Śpiewa, gdy chce jej się płakać,
płacze, gdy jest szczęśliwa
i śmieje się, gdy się boi.

Walczy o to, w co wierzy.
Sprzeciwia się niesprawiedliwości.
Nie akceptuje „nie" jako odpowiedzi,
kiedy widzi lepsze rozwiązanie.
Daje z siebie wszystko,
żeby jej rodzinie dobrze się wiodło.
Zabiera swoją przyjaciółkę do lekarza,
kiedy się o nią martwi.
Jej miłość jest bezwarunkowa

Płacze, kiedy jej dzieci odnoszą sukces.
Jest szczęśliwa, kiedy wiedzie się jej
przyjaciołom.
Cieszy się, kiedy słyszy
o narodzinach czy weselu.

Boli ją serce, kiedy umiera ktoś z rodziny
lub bliski przyjaciel.
Ale znajduje siłę, by żyć dalej.
Wie, że pocałunek i przytulenie mogą
uzdrowić złamane serce.

Ma tylko jedną wadę:
Zapomina, ile jest warta...

„Rozważania biblijne
w języku rosyjskim"
Tłumaczyła Maria Grzegorz

Wierność w doświadczeniach

Urodziłam się w chrześcijańskiej rodzinie. Mój mąż pochodził z Białorusi, był synem sługi Bożego. Wyszłam za mąż w maju 1961 roku, a rok później urodziłam syna Piotra. Jego siostra Liza przyszła na świat w 1964 roku.

W 1965 roku bardzo poważnie zachorowałam na serce. Lekarze stwierdzili wadę serca, ostre zapalenie zatok, migdałów oraz wiele innych chorób i powiedzieli mojemu mężowi, że nie będę żyła. Bardzo się dziwili, jak z tak chorym sercem mogłam urodzić dwoje dzieci. Cały miesiąc nie pozwolili mi wstać z łóżka. Dostawałam silne lekarstwa.

W szpitalu przeleżałam trzy miesiące. Po operacji migdałów i zatok umieszczono mnie w izolatce. Wszystkie stawy rąk i nóg były opuchnięte. Nie mogłam nic utrzymać w rękach, nie mogłam ustać na nogach, ciężko oddychałam.

Cała rodzina, cały kościół modlili się za mnie i Bóg dał odpowiedź: „Ona nie umrze, będzie żyć, lecz będzie odczuwać moją rękę kontrolującą jej życie". I do dziś dnia Bóg przeprowadza mnie przez trudności, smutki i kłopoty.

W 1967 roku zachorował nasz syn. Lekarze stwierdzili nowotwór mózgu. Przeżył 5 lat i 7 miesięcy i Bóg zabrał go do swoich przybytków.

W 1968 roku urodziłam Michała. W tym czasie Bóg zaczął błogosławić swój naród i chrzcić Duchem Świętym. W tym trudzie Bóg wzmacniał i mnie. Bardzo dużo czasu poświęcałam modlitwie o młodzież oraz Kościół Baptystów, gdzie prawie wszystkich członków Bóg ochrzcił Duchem Świętym.

Wrogowi się to nie podobało, byłam prześladowana, pisano w gazetach, że jestem starą sekciarką werbującą dusze do sekty, przede wszystkim dzieci szkolne i studentów. Zagrożono mi, że jeżeli nie skończę swojej działalności, to czeka mnie 5 lat więzienia.

Kiedy byłam kolejny raz w ciąży i miałam urodzić syna, lekarze powiedzieli, że z taką wadą serca nie urodzę tego dziecka i jeszcze zostawię te, które już mam sierotami. Nalegali na przerwanie ciąży. Odpowiedziałam im: „Jeżeli mam umrzeć, to umrę, lecz dwóch dusz nie dam na zatracenie – swojej i dziecka".

Bóg okazał wielką miłość względem mnie i dziecka, i darował nam chłopczyka. Daliśmy mu na imię Andrzej, teraz sam jest lekarzem.

Szatan nie chciał, żeby się urodził. Planował go zabić już w moim ciele - wdało się zatrucie ciążowe. W tym czasie miała odbyć się duża konferencja – zjazd chrześcijański w Rydze. Bóg pokierował mną tak, że mogłam tam pojechać. Przed wyjazdem pojechałam do jednej siostry, żeby się z nią pomodlić. W trakcie modlitwy siostra ta miała widzenie, że szykuje się dla mnie podróż do wielkiego miasta z wysokimi domami i szpitalne łoże. Miałam już wtedy skierowanie do szpitala, ale postanowiłam zaufać Bogu i pojechałam do Rygi. Tam Bóg okazał mi wielką miłość i zostałam uzdrowiona, za co Mu bardzo dziękuję.

Kiedy przyjechałam do Rygi, udałam się do znajomych chrześcijan, którzy mieszkali blisko dworca. Otworzyli drzwi i zobaczyłam całe mieszkanie wypełnione Bożym ludem trwającym w modlitwie. Uklękłam przy samych drzwiach. Wtedy Bóg posłał brata, który modlił się przy stole, wstał i przeszedł do mnie przez całe mieszkanie. Kiedy stanął przy mnie, Bóg przemówił przez niego tak: „Córko moja, za to, że posłuchałaś Mojego głosu, Ja w tej chwili uzdrawiam cię i wzmacniam duchowo i cieleśnie". Ten brat w ogóle mnie nie znał ani ja jego.

Pani doktor, która mnie leczyła i robiła EKG, nie mogła w to uwierzyć i pytała, jakie leki brałam, bo serce jest zdrowe. Opowiedziałam jej, jak wierzący ludzie modlili się za mnie i Bóg mnie uzdrowił. Ona była Żydówką, więc jeszcze powiedziałam jej, że to Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba, jej Bóg i mój, mnie uzdrowił. Kiedy to usłyszała, w jej oczach pojawiły się łzy.

Byłam bardzo prześladowana przez władze. Ciągle mi grożono. Po tym, jak wróg chciał mnie odizolować od narodu Bożego, Bóg powiedział do mnie: „Daję ci inne miasto zamieszkania, gdzie będziesz miała więcej swobody dla Ducha Świętego". W 1976 roku z całą rodziną przeprowadziliśmy się do Elhawy, gdzie przeżyliśmy 23 lata.

Tego roku urodziłam kolejnego syna, Siergieja, a w 1980 roku Bóg zabrał mojego męża do siebie.

Zostałam wdową z czwórką małoletnich dzieci i już mija 25 lat, odkąd jestem w tym stanie. Dziękuję mojemu Bogu za kłopoty, trudności, cierpienia i doświadczenia.

Nigdy nie pomyślałabym, że będę jeszcze mieszkała w Ameryce, lecz Bóg przewidział dla mnie i tę drogę. Z ludzkiego punktu widzenia byłoby to niemożliwe, lecz *u Boga wszystko jest możliwe*. W 1997 roku moja córka wraz z rodziną wyjechała do Ameryki, a ja z dwoma synami przyjechałam w listopadzie 1998 roku do Sacramento, gdzie mieszkam do teraz.

Chcę pracować dla Boga do końca mojego życia, aby wypełniło się to, co czytamy w Psalmie 92: *Sprawiedliwy wyrośnie jak palma, rozrośnie się jak cedr Libanu. Zasadzeni w domu Pańskim wyrastają w dziedzińcach Boga naszego. Jeszcze w starości przynoszą owoc, są w pełni sił i świeżości, aby obwieszczać, że Pan jest prawy, że jest opoką moją, i nie ma w nim nieprawości* oraz w Psalmie 91: *Będziesz stąpał po lwie i po żmii, lwiątko i potwora rozdepczesz. Ponieważ mnie umiłował, wyratuję go, wywyższę go, bo zna imię moje. Wzywać mnie będzie, a Ja go wysłucham, Będę z nim w niedoli, wyrwę go i czcią obdarzę, długim życiem nasycę go i ukażę mu zbawienie moje.*

Candy Tolbert

Pytania i odpowiedzi

Pytanie

Od kilku lat jestem liderką służby wśród kobiet. Lubię się tym zajmować. Ostatnio jednak czuję się wyczerpana. Jestem matką dwójki nastolatków i potrzebuję porady na temat, jak pogodzić skutecznie moje obowiązki wobec rodziny ze służbą w kościele.

Odpowiedź

Wszyscy zdajemy sobie doskonale sprawę, że istnieje silne powiązanie pomiędzy emocjonalną i duchową sprawnością. Większość współczesnych kobiet, zarówno młodych jak i starszych, potrzebuje silnego dopingu, bo kobiety mają dzisiaj tyle ról do odegrania i naprawdę wiele się od nich oczekuje. Trudno im znaleźć dzień, w którym nie byłoby powodów do stresu i pytań o właściwe podejście do życia.

Spójrzmy teraz na statystykę informującą o tym, w jak różny sposób współcześni Amerykanie radzą sobie ze stresem.

- 75% włącza telewizor,
- 66% słucha muzyki,
- 61% bierze gorącą kąpiel,
- 55% kobiet i 20% mężczyzn bierze się do sprzątania domu,
- 54% kobiet i 27% mężczyzn wybiera się na zakupy,
- 36% kobiet i 41% mężczyzn idzie na siłownię lub salę gimnastyczną,
- 38% krzyczy na kogoś,
- 22% sięga po alkohol lub zaczyna jeść.

Werset z Przypowieści Salomona 14,30 w tłumaczeniu *Living Bible* brzmi: *Zrelaksowane podejście do życia przedłuża je*. Wiemy, że nie zawsze łatwo jest być zrelaksowanym, szczególnie wtedy, gdy pełnimy w życiu wiele ról jednocześnie, ale faktem jest, że prawie 80% chorób w Ameryce jest rezultatem niezdrowego stylu życia poddanemu stresowi. Rezultatem niekończącego się stresu jest uczucie wypalenia i chronicznego zmęczenia. Stres okrada nas z energii i obniża poziom naszej produktywności.

Spróbuj powrócić do podstaw, jeśli chodzi o zarządzanie swoim czasem w oparciu o następujące wskazówki:

- Pielęgnuj osobisty czas z Bogiem.
- Poznaj swoje ograniczenia. To wcale źle o tobie nie świadczy, jeśli odmówisz, gdy ktoś zaproponuje ci kolejną dziedzinę odpowiedzialności.
- Zapisz swoje myśli, gdy jesteś pod wpływem stresu. Potem pognieć ten papier i wyrzuć go wraz ze stresem!
- Umów się na kawę z zaufaną osobą, przy której możesz się zrelaksować.
- Zaplanuj czas na relaks. Śmiech jest wspaniałym lekarstwem.
- Bądź aktywna (spacery lub jazda na rowerze) - sama lub razem z koleżanką.
- Poświęcaj się, dawaj coś innym. Unikaj egoistycznego podejścia do życia.
- Podejmuj najbardziej stresujące zadanie w pierwszej kolejności.
- Podziel się obowiązkami z osobami, które wspierają cię w służbie. Docenią to, że darzysz je zaufaniem.

Pamiętaj, że twój pastor jest także osobą wyrozumiałą. Wskazywanie duchowego kierunku jest jednym z celów jego służby, tak więc z pewnością chętnie udzieli ci rady. Porozmawiaj z nim na temat osiągania celów w służbie, oddelegowania i przygotowania nowych liderów. Twój pastor chętnie porozmawia z tobą na temat jakichkolwiek niejasności czy wątpliwości.

Na koniec pamiętaj, że to nowy dzień i ekscytujące czasy dla służby kobiet. Poproś Pana, aby obdarzył cię mądrością i prowadzeniem w twoich planach i przygotowaniach. Staraj się być otwarta na zmiany i koncentruj się na Słowie Bożym, które jest dla chrześcijanina ostatecznym fundamentem, jeśli chodzi o właściwe podejście do codziennych obowiązków.

Bronisława Pilch

Nie wystarczy sama modlitwa

W moim życiu nie brakowało radości ani łez. Mając 15 lat, oddałam swoje życie Bogu, ochrzciłam się i myślałam, że życie będzie o wiele łatwiejsze. Okazało się jednak inaczej. Patrząc z perspektywy, zbliżając się do pięćdziesiątki, wiem, że Bóg był zawsze blisko mnie, chociaż nie zawsze chodziłam jego drogami.

Mając 21 lat wyszłam za mąż i myślałam, że będzie wspaniale. Mój mąż miał swój własny świat. Ja, nie ukrywam, też. Urodziłam trzy wspaniałe córki, które zawsze motywowały mnie do tego, żeby żyć, ale o tym napiszę później. Mąż pracował, a ja wychowywałam dzieci i dzisiaj mogę powiedzieć, że to był piękny czas Bożej obecności w moim życiu. Ale szatan nie próżnuje i gdy znajdzie choćby odrobinę miejsca, wchodzi i czyni spustoszenie w życiu człowieka i rodziny. Tak było i z nami.

Oddalaliśmy się z mężem od siebie, kłóciliśmy się często przy dzieciach i przyszedł moment, że uświadomiłam sobie, jak bardzo nienawidzę swojego męża. Użalałam się nad sobą i ta gorzkość zatruwała nasze relacje, których po czasie w zasadzie już nie było. Chciałam odejść, jednak nie miałam dość siły, żeby to zrobić. Teraz widzę, że to Bóg nie pozwolił na nasze rozstanie. Jednak to nie koniec naszych zawirowań. Gdy dziewczynki podrosły, postanowiłam oddać się pracy zawodowej. Zagubiłam się i w 2000 roku przeżyliśmy bardzo poważny kryzys w naszym małżeństwie, który, gdyby nie Bóg, zakończyłby się rozwodem. W rozpaczy i bezradności

Błagałam Boga, żeby mnie zmienił, zmienił mojego męża, ale nic się nie działo. I tak żyliśmy: czasem było lepiej, czasem gorzej w naszych relacjach małżeńskich, ale Jezus wciąż się o nas troszczył.

nałykałam się tabletek i chciałam umrzeć, ale nawet wtedy Jezus był blisko i nie pozwolił na to.

Moje życie dzieli się na dwa etapy: przedtem i teraz. 20 lat prosiłam Boga o zmianę w naszym małżeństwie i moje modlitwy zostały wysłuchane w sposób najmniej oczekiwany. Teraz już rozumiem, jak ważne są nasze relacje z rodzicami...

Moje relacje z tatą były bardzo chłodne. Doświadczyłam z jego strony wielu zranień i niby mu przebaczyłam, ale coś mnie trzymało, nie umiałam z nim rozmawiać. Tato chorował na białaczkę i spędzał wiele czasu w szpitalu, a mnie to jakoś wcale nie dotykało. Ojciec umarł, ale zanim to się stało, Jezus dał mi tydzień na wzajemne pojednanie.

Ostatnie dni ojciec spędził w szpitalu, a Bóg w moim sercu wzbudził pragnienie, aby go odwiedzać. Pamiętam ostatni dzień jego życia. Jezus wlał tyle miłości w moje serce, że poczułam, jak bardzo go kocham. Tuliłam go do siebie i płakałam, bo wiedziałam, że to koniec. Wtedy Bóg pokazał mi, że to jest wzajemne przebaczenie, wypełnił mnie miłością, za którą tęskniłam. Na drugi dzień ojciec odszedł do Pana, ale to nie koniec niespodzianek, które Bóg mi zgotował.

Dziś wiem, że niepotrzebnie całe życie walczyłam z mężem, prosząc Boga o zmianę. Tak naprawdę, to ja musiałam coś zmienić w swoim życiu. Często myślimy, że walcząc z mężem, dziećmi coś zmienimy. Szatan oszukuje nas, chcąc rozbić małżeństwo, rodzinę. Walczmy w modlitwie o dobre relacje w rodzinie, małżeństwie, o nasze dzieci, *gdyż bój toczymy nie z krwią i ciałem, lecz z nadziemskimi władzami ze zwierzchnościami, z władcami tego świata ciemności, ze złymi duchami"* (Ef 6,12).

Obudziłam się któregoś poranka, spojrzałam na mojego męża i uświadomiłam sobie, jak bardzo go kocham. To, co mnie w nim denerwowało, nagle przestało mi przeszkadzać. Zakochałam się w nim na nowo. Czekałam tak długo na zmianę, ale nastąpiła dopiero wówczas, gdy przebaczyłam swojemu tacie.

Dlatego patrząc z perspektywy wiem, że nie warto walczyć ze sobą, bo to moc ciemności chce nas zniszczyć. W Jezusie mamy zwycięstwo, tylko musimy się Mu oddać i nauczyć się słuchać. Nie od przypadku do przypadku, ale zawsze, nawet w najdrobniejszych dziedzinach naszego życia.

Moje życie nie jest wolne od problemów, ale wiem, że póki będę Go kochać i moc Ducha Świętego będzie mnie wypełniać, nie zbłądzę. Niech Bogu będzie chwała!

Nancy Campbell

Troszcząc się o swoją trzódkę

Jednym z najpiękniejszych obrazów Boga jest Bóg jako Pasterz. Jest On naszym osobistym Pasterzem, ale także Wielkim Pasterzem całej swojej owczarni – narodu izraelskiego i Kościoła. Zadziwiające jest to, że ze wszystkich stworzonych przez siebie zwierząt wybrał właśnie owce, by obrazowały naszą relację z Nim – Pasterzem. Owca nie jest w stanie przetrwać bez swojego pasterza.

Wielki Pasterz chce opiekować się swoim cennym stadem, używając ziemskich pasterzy. Powołuje ich, by strzegli Jego stada – Kościoła. W 1 Liście Piotra nakazuje starszym: *paście trzodę Bożą, która jest między wami, nie z przymusu, lecz ochotnie (...), jako wzór dla trzody. A gdy się objawi Arcypasterz, otrzymacie niezwiędłą koronę chwały* (IP 5,1-3). Powtarza to w Dz 20,28: *Miejcie pieczę o samych siebie i o trzodę, wśród której was Duch Święty ustanowił biskupami, abyście paśli zbór Pański nabyty własną jego krwią.*

Słowo *polmaino*, występujące w tym fragmencie, oznacza wzięcie całkowitej odpowiedzialności za stado przez pasterza – prowadzenie owiec do źródeł wody i pożywnego jedzenia, ale także wskazywanie drogi, ochrona, opieka i troska o całą trzódkę.

Po swoim zmartwychwstaniu Pan Jezus trzykrotnie nakazywał Piotrowi: *Paś owieczki moje* (J 21,15-16). Pierwszy i trzeci nakaz *paś* dosłownie oznacza *karm/dostarczaj pokarmu/dawaj jedzenie*. Natomiast za drugim razem Pan Jezus znowu użył terminu *polmaino*, oznaczającego wzięcie całkowitej odpowiedzialności za stado przez pasterza.

Uwielbiam zwrot „troszczyć się o swoją trzódkę". W czasach biblijnych pasterz prowadził swoje owce do owczarni każdego wieczora. Liczył każdą z osobna, sprawdzając, czy wszystkie bezpiecznie dotarły do zagrody, chronione przed dzikimi napastnikami. Sam często spał u wejścia, by dodatkowo zapewnić swoim owieczkom bezpieczeństwo. Za dnia strzegł ich swoją laską i kijem, prowadząc je na zielone pastwiska.

Bóg pragnie abyś jako mama także „strzegła swojej trzódki". Jedną z tych wielkich rzeczy, jakie robisz, jest żywienie swoich dzieci. Owieczki jedzą przez cały dzień! Rzadko podnoszą głowy, tak zajęte są jedzeniem trawy! Czy zastanawiasz się czasem, dlaczego Bóg nazywa nas swoimi owcami? Nie miej poczucia, że marnujesz swój dzień, przygotowując posiłki dla rodziny, bo to jest ogromna część twojej pracy jako „pasterki". Tak naprawdę robisz dużo więcej, niż karmienie swoich dzieci. Jako mama troszcząca się o zaspokojenie ich potrzeby jedzenia, odkrywasz przed nimi pasterskie serce Boga. Naśladujesz Go, kiedy karmisz swoje maleństwo, łagodnie prowadzisz i z miłością uczysz i ćwiczysz swoje dziecko (Iz 40,11).

Nie jesteś jednak tylko łagodną, troskliwą mamą. Twoją cechą jest także odwaga! Otrzymałaś ogromne zadanie, by chronić umysły, dusze i ducha twoich dzieci (1Tes 5,23). Strzeżesz je przed złem: przed oszustwami, złudzeniami i zboczeniem z Bożych dróg, tak bardzo powszechnymi we współczesnym społeczeństwie.

Kiedy wróg nadchodzi, by prześladować twoje dzieci, jesteś jak czujny stróż, który wydziera je z paszczy niszczyciela. Dokładnie to zrobił Dawid, pasterz Izraela. Z wielką odwagą pokonywał dzikiego lwa czy niedźwiedzia i ratował swoją owcę z jego paszczy (1Sm 17,34-36).

To namaszczenie do zapewniania dzieciom ochrony jest ważną częścią twojej odpowiedzialności jako mamy, ponieważ bycie pasterzem oznacza równocześnie bycie delikatnym, ale też stanowczym i silnym. Proroctwo dotyczące Chrystusa, Mesjasza zapowiadało: *I ty, Betlejemie, ziemio judzka, wcale nie jesteś najmniejsze między książęcymi miastami judzkimi, z ciebie bowiem wyjdzie wódz, który paść będzie lud mój izraelski* (Mt 2,6). Mesjasz, który będzie rządził narodami laską żelazną, jest także łagodnym pasterzem. (Obj 2,27).

Pomimo że z łagodnością troszczysz się o swoje stadko, jesteś także zarządcą swojego domu – prowadzisz, wskazujesz drogę i chronisz. Wychowujesz swoje baranki i wzrastające owieczki w dyscyplinie i posłuszeństwie. To wymaga ciężkiej pracy i codziennego poświęcenia (czasami dni i nocy), ale bycie pasterzem oznacza, że jesteś gotowa kłaść swoje życie za owce (J 10,11).

Bycie Pasterzem to tak ogromna część Bożej natury, że postanowił On *paść* nas nawet w królestwie wiecznym. W Obj 7,15-17 jest napisane: *dlatego są przed tronem Bożym i służą Mu we dnie i w nocy w świątyni Jego, a Ten, który siedzi na tronie, osłoni ich obecnością swoją. Nie będą już łaknąć ani pragnąć, i nie padnie na nich słońce ani żaden upał, ponieważ Baranek, który jest pośród tronu, będzie ich pasł i prowadził do źródeł żywych wód; i otrze Bóg wszelką łzę z ich oczu.*

Bóg nigdy nie przestanie troszczyć się o swoją trzódkę. On jest Arcypasterzem i będzie naszym Pasterzem przez całą wieczność, prowadząc nas stale na zielone pastwiska i do źródeł wody życia. Będziemy wtedy pełnymi wdzięczności i radości owcami, wciąż prowadzonymi w jeszcze piękniejsze miejsca.

Czy zauważasz fakt, że On jest nie tylko naszym Pasterzem, ale także Barankiem, który został zabity i w którym jest nasze zbawienie? I pomimo że siedzi na tronie, to także mieszka między nami. On jest i zawsze będzie Pasterzem „zamieszkującym" z nami, który kocha to zamieszkiwanie i kocha być częścią naszego życia.

Także ty, jako pasterka, zawsze będziesz chciała być ze swoimi owieczkami, mieszkać z nimi, być częścią ich życia. Nawet ziemski pasterz nie zabrałby baranka od jego matki, czy od jego rodzinnego stada. Dokładnie tak samo mama – pasterz nie potrafi rozstać się ze swoją maleńką owieczką nawet na kilka godzin. A gdy dzieci rosną, ciągle chce mieć je blisko, by się nimi cieszyć i uczyć je Bożych dróg.

Przypatruj się swoim dzieciom. Ukryj je w swoim sercu. Stwórz im bezpieczny, bogobojny dom. Wypełnij nimi swoje marzenia. Pamiętaj o nich w twoich codziennych modlitwach.

Tatiana Hydzik

Chrześcijańska dojrzałość

Nasz kościół to ciepły dom, pełen życia, otwarty na wszystkich ludzi. Pragniemy, aby każdy znalazł w nim miejsce dla siebie, czuł się kochany i w pełni akceptowany. Uważamy, że przychodzenie do kościoła powinno sprawiać ludziom radość, rozpalać w nich ogień dla Boga i inspirować do twórczego życia. Jesteśmy podekscytowani, gdy ludzie odnajdują swoje przeznaczenie, gdyż wiemy, że wtedy mogą czuć się w pełni szczęśliwi.

Zbór powinien być rodziną wzrastającą pod względem liczby oraz głębi swojego życia i co jest bardzo ważne: związków między ludźmi. W codziennym życiu zboru jego członkowie zarówno dają, jak i biorą. W zdrowym zborze chrześcijanie więcej myślą o tym, co mogą dać, niż o tym, co mogą od zboru uzyskać. Innymi słowy, starają się wypełnić swoje obowiązki, zamiast nieustannie domagać się swoich praw. Taki zbór jest dojrzałym zborem, ponieważ jego członkowie są dojrzałymi ludźmi.

Chrystus pragnie, abyśmy takimi właśnie byli – dojrzałymi. Nasuwa się zatem pytanie, czym jest dojrzałość. Dojrzałość to:

- zachowywanie się jak dorosły, a nie jak dziecko,
- powstrzymanie się od opuszczenia spotkania, bo ktoś mnie skrytykował,
- powstrzymanie się od szantażu emocjonalnego, gdy nie mogę postawić na swoim,
- świadomość pełni naszego potencjału pod Bożym panowaniem,
- życie w pokoju z Bogiem, sobą samym i z innymi ludźmi, zarówno wierzącymi jak i niewierzącymi.

Mamy do czynienia z trzema postawami: dzieckiem, rodzicem i dorosłym.

Dziecko reprezentuje to, co często odczuwamy w stosunku do ludzi, wydarzeń i rzeczy. Są to reakcje emocjonalne podobne do reakcji dziecka na pouczenia rodziców: ja chcę..., nie będę..., nie zależy mi..., dlaczego ja?... Reakcjom tym towarzyszą silne uczucia. Nie są to starannie przemyślane odpowiedzi. Zachowanie dziecka przejawia tendencję do egoizmu i zaspokajania osobistych upodobań i awersji. To traktowanie innych ludzi tak, jakby byli rodzicami. Zachowanie rodzica to patrzenie na ludzi z góry i traktowanie ich jak dzieci.

Postawa dorosłego to traktowanie innych jako godnych szacunku, równych nam, rozsądnych partnerów.

Łatwo jest dostrzegać postawy dziecka lub rodzica w zachowaniu innych ludzi. Rzeczywiście nie mamy trudności z dostrzeganiem najróżniejszych wad u innych. Jednak Jezus zachęcał swoich uczniów, aby zwracali uwagę na siebie i własne niedociągnięcia (Mt 7,1-5). Jeżeli będziemy szczerzy, to zrozumiemy, że sami jesteśmy winni wielu niedojrzałych słów i czynów. Gdybyśmy mogli, wolelibyśmy uniknąć tych błędów, ponieważ powodują one tylko kłopoty. Problem w tym, aby wiedzieć, kiedy tak się zachowujemy i jak to naprawić. Pomóc może nam zrozumienie przyczyn takiego zachowania.

Miłość jest czymś, bez czego nie możemy żyć. Jej wymagania pobudzają nas do najróżniejszych działań i uczuć, ponieważ musi być zaspokojona. Dorośli potrzebują kochać i być kochanymi tak samo jak dzieci. Niektórzy wydają się mieć dużo większą potrzebę bycia kochanym niż inni. W Kościele zawsze było wiele osób pokrzywdzonych przez los. Jezus poświęcał szczególną uwagę zaspokajaniu potrzeb takich ludzi. Oczywiście, okazywał miłość wszystkim, których spotykał, wielu jednak było zadufanych w sobie i Go odrzucało.

Zbór stwarza mnóstwo okazji okazywania i doświadczania miłości. Już wcześniej wspominałam, że powinniśmy być zarówno biorącymi, jak i dającymi miłość. Niestety, pomimo, że szczerze tego pragną, niektóre osoby nie wiedzą, jak okazywać miłość. Najpierw muszą ją otrzymać. Skuteczność grup rehabilitacyjnych polega na tym, że z miłością oferuje się tym ludziom to, czego przez długi czas byli pozbawieni w swoim życiu.

Czy nie to właśnie powinien czynić zbór, powinnam ja robić, jeśli tylko potrafię? Gdy okazuję miłość komuś, kto jej potrzebuje, wzbogacam jego doświadczenie przyjmowania miłości i jednocześnie pomagam mu ją okazywać. Najgłębsza miłość, jakiej możemy doświadczyć, to miłość Boża. Kiedy w pełni odczujemy głębię tej miłości, wypłynie ona do innych i wypełnimy przykazanie: *Abyście się miłowali, jak Ja was umiłowałem* (J 15,12).

To smutne, że wielu członków Kościoła nie jest pewnych Bożej miłości. Zadaniem mocnych w wierze jest pomóc słabszym uświadomić sobie, że *nic nie zdoła nas odłączyć od miłości Bożej* (Rz 8, 38). Pomoc w doświadczaniu przez nich Jego miłości będzie pierwszym krokiem ku temu, aby sami zaczęli ją okazywać. Jezus powiedział: *Bardziej błogosławioną rzeczą jest dawać niż brać* (Dz 20,35).

Nie każdy potrafi z radością i bez trudu wypełnić to przykazanie. Możemy w tym pomóc, prowadząc do pełniejszego zrozumienia Bożej miłości. Jako przykład podam świadectwo, które słyszałam podczas spotkania dla kobiet w jednym ze zborów, gdzie prowadziłam wykłady na ten temat. Nie pamiętam imienia tej kobiety, ale jest ona przykładem osoby, która odnalazła nowe znaczenie w swoim życiu dzięki miłości ludzi wokół niej. Przez wiele lat była nieśmiała, niezdolna do dawania, niepewna w swoich związkach z ludźmi, lecz w głębi wiedziała, że wszystko może wyglądać inaczej. Radość i pewność siebie, które na nowo odkryła u siebie, były rezultatem przebywania w zżytej, pełnej miłości społeczności, dzięki której pogłębiła swoją relację z Bogiem, z samą sobą i innymi chrześcijanami. Powiedziała, że coraz

wyraźniej widziała, że jest akceptowana i doceniana taką jaką jest. I im bardziej przekonywała się, że jest akceptowana i doceniana, tym pełniej mogła wyrażać siebie i swój charakter, a także odczuła, że ma więcej do zaoferowania innym.

Miłość musi być czymś więcej niż teorią czy słowem, musi być działaniem. Musi być demonstrowana. Bóg jest miłością i miłość zawsze była Jego domeną. On przyszedł, aby nas kochać, uczyć nas kochać Jego oraz uczyć nas kochać siebie i innych. Kiedy zgodnie z tym postępujemy, życie jest piękne; jeśli nie – nic nie działa właściwie. Miłość jest odpowiedzią na nasz egoizm, bo miłość daje, podczas gdy egoizm zabiera. Musimy zostać uwolnieni od siebie samych, właśnie w tym konkretnym celu przyszedł Jezus – jak czytamy w 2 Liście do Koryntian 5,15:

A za wszystkich umarł Chrystus po to, aby ci, którzy żyją, już więcej nie żyli dla siebie, lecz dla Tego, który za nich umarł i zmartwychwstał.

Niedawno, kiedy rozmyślałam nad strasznymi problemami świata, takimi jak głodujące dzieci, AIDS, wojny, uciski, handel ludźmi, kazirodztwo i wiele innych, zrozumiałam, że Bóg czeka na działania ludzi aż powstaną i coś z tym zrobią. Większość z nas robi, co może (Uganda, Służba Szalom, Nowa Nadzieja), ale nie wszyscy, ponieważ myślą jak miliony innych: „Wiem, że świat ma problemy na ogromną skalę, ale co ja mogę zrobić?". To jest dokładnie ten rodzaj myślenia, który nas paraliżuje, podczas gdy zło nadal triumfuje.

Ostatnio w programie „Lis na żywo" słyszałam rozmowę dziennikarza z człowiekiem, który uratował samobójcę stojącego na moście. Było ciemno, jechał samochodem i kątem oka zauważył coś dziwnego: mężczyznę przechylającego się przez barierkę. Zatrzymał samochód i ostrożnie zaczął podchodzić do tego człowieka, spokojnie zaczynając z nim rozmowę i wyciągając do niego rękę. Ten człowiek był tak zdeterminowany, by rzucić się w nurt rzeki, że nie chciał w ogóle z nim rozmawiać, ale on cały czas zbliżał się do niego, zachęcając go, by z nim porozmawiał. W końcu złapał go za rękę i odciągnął od barierki. W tym czasie kierowcy siedzący w samochodach, gdyż przejazd był zatarasowany, zaczęli naciskać klaksony z powodu radości z uratowania tego człowieka.

Ratujący zabrał go do samochodu, zawiózł do domu, zaopiekował się nim. Okazało się, że niedoszły samobójca od dziecka był chorowity, miał nieudane małżeństwo i był zadłużony. W niedługim czasie znalazło się wielu chętnych, którzy pomogli spłacić jego długi, znaleziono mu mieszkanie. Obaj mężczyźni byli w studiu telewizyjnym. Uratowany niewiele mówił, właściwie prawie nic, ale na twarzach obu mężczyzn gościła radość.

Co robimy, aby zmienić coś na świecie? Bóg chce nas użyć. Musimy jednak Mu zaufać, że nas wyposaży do wykonania tego, co potrafimy. A On zrobi to, czego my nie potrafimy. Ja zdecydowałam się wiele lat temu. Stałam się lokomotywą, do której dołączyły wagoniki nie tylko z Polski, ale również z wielu innych krajów (Czechy, Ukraina, Rosja, Litwa, Białoruś, Kanada, Ameryka). Podobnie stało się w życiu Honoraty Wąsowskiej, Joyce Meyer i innych. Nie przeżyjemy pełnej radości w Bogu bez tego rodzaju okazywania miłości. Wymaga ona wielkiego wysiłku, który towarzyszy wszystkiemu, czemu się poświęcamy, w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Słyszałam historię o mężczyźnie, który pojechał do Rosji z dobrymi intencjami powie-

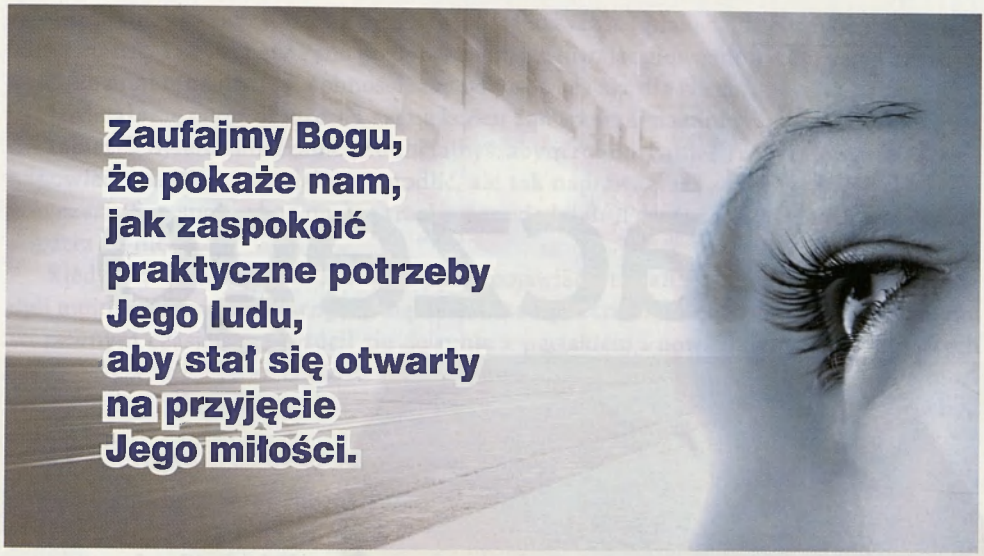

dzenia ludziom o miłości Jezusa Chrystusa. Podczas jego wizyty wielu ludzi było głodnych. Kiedy zobaczył kolejkę czekających z nadzieją na otrzymanie codziennego chleba, zbliżył się do nich z traktatami ewangelizacyjnymi w dłoni i, podchodząc, mówił, że Jezus ich kocha, i wręczał każdemu traktat o Dobrej Nowinie. Próbował pomóc, ale jedna z kobiet popatrzyła mu prosto w oczy i gorzko powiedziała: „Twoje słowa są miłe, ale nie wypełnią pustego żołądka".

Nauczyłam się, że ludzie często są za bardzo zranieni, aby usłyszeć Dobrą Nowinę o tym, że Bóg ich kocha; muszą tego doświadczyć. A najlepszym rozwiązaniem dla nich jest doświadczenie Bożej miłości, gdy zaspokajamy ich praktyczne potrzeby, w dodatku mówiąc im, że są kochani. Musimy wystrzegać się myślenia, że same słowa wystarczą. Jezus na pewno nauczał Dobrej Nowiny, ale również czynił dobro i uzdrawiał wszystkich, którzy byli pod władzą diabła (Dz 10,38).

Mówienie nie jest kosztowne i nie wymaga wiele wysiłku – inaczej niż prawdziwa miłość. Możliwe, że będziemy musieli zainwestować czas, pieniądze, wysiłek czy rzeczy materialne – jakiś koszt na pewno poniesiemy. Miłość związana jest z poświęceniem, a to wymaga dojrzałości.

Co możemy zrobić? Możemy się opiekować, interesować, modlić, możemy podjąć działanie. Możemy wspierać służby i organizacje, które pomagają innym. Jeśli Bóg nas prosi, możemy wybrać pracę w tych organizacjach (przy dystrybucji *Samarytanki* przez około 20 lat pracuje ze mną 12 kobiet, niektóre już odeszły, mając ponad 80 lat). Jeśli praca na pełny etat nie wchodzi w grę (ja zostawiłam stałą pracę w szkole, gdzie byłam ceniona i spełniona), można się podjąć jakiegoś podstawowego zadania w projekcie albo krótkoterminowej podróży misyjnej. Bóg kocha wszystkich ludzi i liczy na to, że dołączymy do walki z cierpieniem na świecie.

Zaufajmy Bogu, że pokaże nam, jak zaspokoić praktyczne potrzeby Jego ludu, aby stał się otwarty na przyjęcie Jego miłości.

Hollie L. Moody

Dlaczego powinniśmy się modlić?

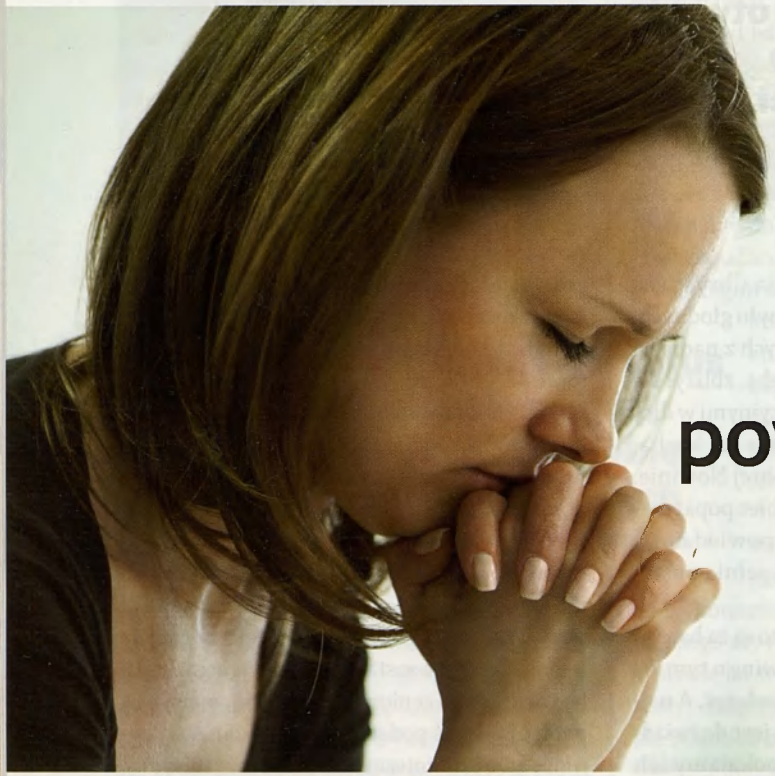

To, co się wydarzyło, miało miejsce 28 stycznia 2000 roku, wieczorem, kwadrans po ósmej.

Zobaczyłam Pana siedzącego na ogromnym białym tronie. Przed Jego obliczem stanęły tłumy. Ja, Hollie, obserwowałam wszystko z boku. Byłam zszokowana faktem, że nikt z tych ludzi nie miał twarzy. W miejscu, gdzie powinna być twarz, po prostu była plama.

Za każdym razem, kiedy jakaś osoba podeszła do Pana, On otwierał książkę i czytał z niej wszystkie rzeczy, jakie dana osoba uczyniła w swoim życiu. Wszystko było zapisane, a Pan czytał całą książkę od początku do końca. Każda osoba w tej szczególnej kolejce była

osądzana i potępiona. Każda z nich zaczynała krzyczeć i płakać, błagając Pana o jeszcze jedną szansę. Łzy płynęły Panu po policzkach, ale kiwając głową mówił każdemu człowiekowi, że miał mnóstwo sposobności, aby pokutować i żyć dla Niego.

To działo się przez długi czas. Aż na końcu Pan spojrzał na mnie i spytał: „Dlaczego nic nie robisz?". Byłam zmieszana. „Co chciałbyś, abym robiła, Panie?", zapytałam. „Módl się", odpowiedział. Więc zaczęłam się modlić, ale tak naprawdę bez zaangażowania. Po krótkim czasie Pan spojrzał na mnie z troską i powiedział: „Popatrz na tych ludzi. Naprawdę, popatrz na nich".

Kiedy to zrobiłam, ich twarze zaczęły się pojawiać. Stawali się ludźmi, których znałam. Byli moimi znajomymi. Zaczęłam się o nich modlić z trochę większym zaangażowaniem. Po pewnym czasie Pan zwrócił się do mnie z naciskiem i powiedział: „Popatrz na tych ludzi jeszcze raz". Teraz ci ludzie stali się moimi przyjaciółmi. „Musisz modlić się mocniej", napominał mnie Pan. I ja zaczęłam się modlić trochę mocniej. Ale ludzie wciąż byli potępiani.

Ponownie Pan zwrócił się do mnie, tym razem z gniewem. Wciąż płakał nad duszami, które właśnie były przez Niego potępiane. „Czy ty naprawdę rozumiesz i rozpoznajesz to, co się tutaj dzieje?", pytał. I nagle za długą linią ludzi otworzyła się dziura. Spojrzałam w jej kierunku. Wychodziła z niej okropna ciemność. Słyszałam krzyki, pisk, narzekanie i jęki. „Idź i zobacz", rozkazał mi Pan.

Nie chciałam iść. Byłam przestraszona, ale coś zmuszało mnie do spojrzenia w głąb niej. Wycofałam się z przerażeniem. Dziura wydawała się być długim tunelem. Na jej dnie widziałam kotłującą się masę ludzi. Byli tak bardzo stłoczeni, że wydawało się, iż nie ma między nimi żadnej przestrzeni. Były tam języki ognia i czerwono-pomarańczowy żar wychodzący z dna. Poczułam siarkę. Widziałam ogień i płomienie ognia. Poczułam intensywny żar.

Zobaczyłam robaki pełzające po ciałach ludzi znajdujących się na dnie. Ludzie stali w ogniu, płonęli, ale nie spalali się. Piszczeli w agonii i bólu. Patrzyli w górę, w kierunku wylotu dziury. Ich ręce i ramiona były wyciągnięte w górę. Przemieszczali się i poruszali bez spoczynku jak wielkie fale. I wciąż krzyczeli. Krzyczeli i błagali o wyswobodzenie, o miłosierdzie. Ale nie było żadnego miłosierdzia. Nie było żadnego wyzwolenia.

Przerażona wycofałam się znad krawędzi czarnej dziury. Odwróciłam się w kierunku Pana siedzącego na swoim tronie. On wciąż czytał z ksiąg. Teraz zobaczyłam ogromny, niekończący się stos książek obok Jego tronu. Od razu wiedziałam, że każdy z ludzi, o którym książka została napisana, będzie potępiony. Spojrzałam na długą, niekończącą się linię ludzi zgromadzonych przed Panem, czekających na osądzenie. Teraz zobaczyłam każdą twarz wyraźnie. Oni byli moimi przyjaciółmi, moją rodziną, moimi krewnymi. I byli potępiani...

Widziałam, jak wrzucono ich w głąb czarnej dziury i słyszałam, jak krzyczeli. Pan odwrócił się do mnie ze łzami płynącymi po Jego policzkach i powiedział: „Teraz módl się". Zaczęłam szlochać i wołać do Boga o miłosierdzie. Kiedy jakaś osoba została osądzona, podbiegałam do krawędzi czarnej dziury i próbowałam ją wyciągać. Chwytałam ją za ręce i ramiona, i próbowałam ją zatrzymać, ale wyślizgiwała się z mojego uścisku.

Byłam jakby obok siebie, próbując desperacko zatrzymać ludzi, których kochałam, przed zejściem w dół. Wyciągnęłam rękę i uchwyciłam się Pana, a potem sięgnęłam moim

drugim ramieniem w dół czarnej dziury, próbując wyciągnąć ludzi z czeluści. „Puść", powiedział Pan do mnie. „Jeśli puszczę rękę, sama wpadnę", zaprotestowałam. „Puść", Pan powtórzył. Puściłam.

Niewidzialne ręce trzymały mnie. Położyłam się tuż nad krawędzią dziury, wyciągnęłam rękę w głąb, próbując chwycić ludzi, którzy spadali. Czułam, jakbym płonęła. Czasami czułam uderzające mnie pazury. Czułam oparzenia na ramionach i zobaczyłam zadrapania.

Płakałam i wołałam do Boga o wyswobodzenie moich ukochanych. Błagałam Boga, aby okazał im łaskę. „Jest łatwiej modlić się za straconymi, zagubionymi wtedy, kiedy są twoimi bliskimi", powiedział Pan.

„Pamiętaj, wszyscy straceni, zagubieni są moimi ukochanymi. Chcę, aby moje dzieci zaczęły się modlić za nimi, za moimi straconymi dziećmi, tak jak teraz modlisz się za nimi. Powołam pokolenie modlących się wstawienniczo, którzy staną w wyłomie, aby wołać za moimi straconymi dziećmi. Ci modlący się będą czuli żar bitwy i będą przez nią spaleni. Siły piekła wyjdą przeciwko nim i zaatakują ich. Ale Ja będę z nimi i będę ich wspierać. Czy będziesz się modlić?"

„Rozważania biblijne w języku rosyjskim"
Tłumaczyła Maria Grzegorz

Dziewczynka wśród lwów

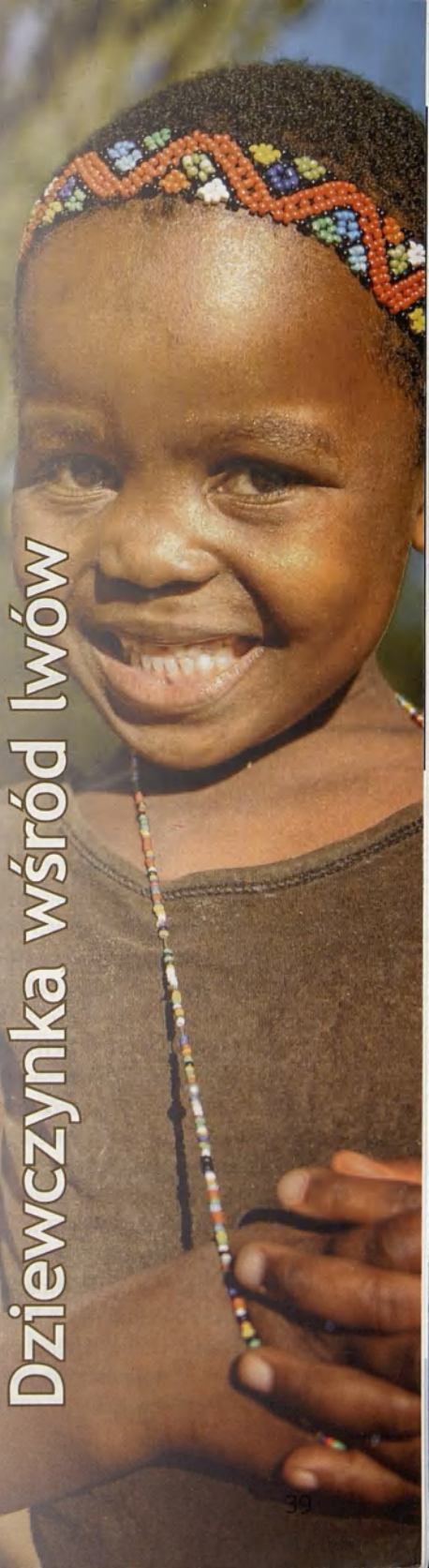

Czarnoskóra dziewczynka imieniem Mtimasana uczęszczała na szkółkę niedzielną przy misji prowadzonej przez czarnoskórych, kilka kilometrów od jej domu, w miejscu, gdzie tropikalna rzeka Kaprykon wpada do Oceanu Indyjskiego na wschodnim brzegu Afryki.

Bardzo podobały jej się pieśni, które śpiewali i opowiadanie o Danielu w lwiej jamie. W domu opowiedziała mamie o wszystkim, co usłyszała. Lecz mamę bardzo to denerwowało, bo wiedziała, że jeżeli córka zostanie chrześcijanką, nie zechce pomagać jej przy sporządzaniu piwa i samogonu.

Matka wyzywała ją i zabroniła chodzić na szkółkę niedzielną, lecz dziewczynka jej nie posłuchała. Wtedy mama poszła po nią i zabrała stamtąd siłą. W domu zbiła ją i zagroziła, że użyje gorszych metod, jeżeli jeszcze raz tam pójdzie. Ale i te groźby nie pomogły. Wtedy mama przywiązała ją do gałęzi za nogi, głową w dół, myśląc, że to, czego się nauczyła na szkółce, wyleje się z niej przez usta. Następnie napoiła ją miksturą sporządzoną przez szamana, który twierdził, że zniszczy nawyki obcej religii.

Po niedługim czasie dziewczynka znów przyszła na szkółkę przy misji i tam została. Mama znów zabrała ją siłą i wymyśliła kolejną karę. Wieczorem zaprowadziła dziewczynkę do lasu, związała jej ręce z tyłu i przywiązała do drzewa w nadziei, że lwy wypędzą z niej nową wiarę. Nikt nie wie, co się działo ciemną nocą, lecz można uwierzyć, że młoda męczennica nie była sama. Następnego dnia rano znalazł ją chłopczyk z misji, odwiązał i przyprowadził do misjonarzy.

Pracownicy misji z niedowierzaniem poszli obejrzeć miejsce, w którym była przywiązana dziewczynka. Stwierdzili, że wokół tego drzewa w odległości 6-7 arszin były ślady lwów – wydeptana ścieżka. Lwy chodziły wokół drzewa całą noc, siedziały na ziemi, lecz nie ośmieliły się podejść do dziewczynki. Na pytanie, jak czuła się okrążona przez lwy, w odpowiedzi usłyszeli: „Przecież wy uczyliście mnie, że wielki Bóg, który stworzył lwy i mnie, nie pozwoli, by przyjaciel zjadł przyjaciela".

Czesław Budzyniak

Czymże jest człowiek, że o nim pamiętasz lub syn człowieczy, że go nawiedzasz? Uczyniłeś go niewiele mniejszym od Boga [B.T.: Niewiele mniejszym od istot niebieskich], chwałą i dostojeństwem uwieńczyłeś go (Ps 8,6).

Człowiek to klejnot niezniszczalny

Pewnie czytelnicy już o tym wiedzą, że człowiek to nie tylko postać, którą możemy oglądać: to trójwymiarowa przestrzeń ducha, duszy i ciała. Połączone przez Stwórcę w jedno i przy Jego tchnieniu, stała się istotą ożywioną. Jedna z tych przestrzeni to *klejnot niezniszczalny*, czyli wieczny. Mowa jest tu o duchu człowieka nazwanym w Biblii *człowiekiem wewnętrznym*, ukrytym w duszy i ciele człowieka.

Ap. Piotr wyraził to tak: *ukryty wewnętrzny człowiek z niezniszczalnym klejnotem łagodnego i cichego ducha* (1P 3,4). Jest to najgłębsza i najdoskonalsza sfera naszego istnienia nazwana przez apostoła *klejnotem niezniszczalnym*. Ponieważ pochodzenie tego klejnotu jest od nieśmiertelnego Boga, dlatego też ta pierwsza przestrzeń ducha jest nieśmiertelna, wieczna. *Wszystko pięknie uczynił w swoim czasie, nawet wieczność włożył w ich serca*, mówi Kaznodzieja (3,11).

Posłużę się tutaj kilkoma wypowiedziami ludzi nauki o człowieku, a w szczególności o ludzkim DNA, który jest zapisanym wzorem (kodem) na zbudowanie ludzkiego życia. Dr Werner Gitt twierdzi, że molekuła DNA gromadząca zapis wzoru na powstanie życia człowieka posiada najbardziej zagęszczoną informację znaną człowiekowi na ziemi. Pojedyncza nić DNA jest tysiące razy cieńsza od ludzkiego włosa, a jednak może być w niej tyle informacji, że zapisane książki sięgałyby od Ziemi do Księżyca 500 razy. Gdyby pobrać kod genetyczny od każdej z 6 miliardów żyjących osób, umieszczając wszystkie razem, to można by je umieścić w naczynku mniejszym niż naparstek krawiecki.

Dr Francis Collins w swojej książce *Język Pana Boga* wskazuje, że ludzki gen składa się z trzech miliardów liter i pisany jest dziwnym kryptograficznym czteroliterowym kodem. Taka jest zadziwiająca złożoność informacji zawierającej się w każdej komórce ludzkiego organizmu. Natomiast odczytywanie jego przy szybkości trzech liter na sekundę zajęłoby człowiekowi 31 lat, zakładając, że kontynuowałby to czytanie dzień i noc bez przerwy. Toteż dr Collins nie wahał się nazwać tę złożoność kodu językiem Pana Boga.

Dr n. med. I. Newman zauważył, że człowiek z całą swoją dotychczasową wiedzą nie jest w stanie ożywić ani jednej komórki. W przeciwieństwie do niego Siła Stwórcza jest w stanie wyprodukować ok. 600 miliardów tych komórek, poukładać je odpowiednio i utworzyć życie człowieka w przeciągu 280 dni, tj. ok. dziewięciu miesięcy ciąży.

Dziś już wiemy, dlaczego król Dawid wyrażał się z takim zachwytem: *cudownie mnie stworzyłeś i w księdze swej* (DNA) *zapisane są wszystkie dni przyszłe, gdy jeszcze żadnego z nich nie było. Jak niezgłębione są dla mnie myśli Twe, Boże, jak wielka jest ich liczba!*

Na wstępie wspomniałem o duchu człowieka, teraz dodam tylko, że duch człowieka jest nie widzialny, ale można oglądać jego działanie. Podobnie zresztą jak działanie wiatru, chociaż wiatr widzialny nie jest. Nowe narodzenie odbywa się w duchu przy udziale Ducha Świętego, a widzialne jest w działaniu człowieka, w jego postawie i zachowaniu. Później wszelkie zalecenie Jezusa staną się ozdobą Jego uczniów, bo będą podobni do swego Mistrza i będą wyrażać Jego charakter.

Należy też wspomnieć o duszy człowieka. Greckie słowo *psyche* oznacza *istotę ożywioną*. W Nowym Testamencie przetłumaczone jest 56 razy jako *dusza* lub *umysł*, czasem jako *ożywiona istota czująca*. Duszą również w Biblii nazwana jest krew (1Mż 9,4). Wniosek stąd oczywisty, że dusza związana jest z ciałem i potrzebuje zbawienia. Mówi o tym ap. Jakub: *Przeto odrzućcie wszelki brud i nadmiar złości a przyjmijcie z łagodnością wszczepione w was Słowo, które może zbawić dusze wasze* (Jk 1,21).

Ludzkiemu ciału też należałoby poświęcić nieco uwagi. Jaką rolę ma do spełnienia? Czy należy rozumieć, że ciało to tylko gniazdo pokuszeń, grzechu i wszelkiej nieczystości i nale-

ży z nim walczyć i tylko walczyć? Jeśli zatem taką strategię się obierze, to można tę walkę z ciałem przegrać, a przegrywając z ciałem, przegrywa się wszystko. Ażeby jej nie przegrać, przede wszystkim należy do naszego ciała podejść z respektem i szacunkiem, bo tak podchodził apostoł Paweł, który powiedział: *Nikt nigdy swego ciała nie miał w nienawiści* (Ef,5,29), a to oznacza, że należy je miłować. Jak się miłuje Boga, bliźniego, tak też samego siebie. I to jest jeden punkt widzenia – z szacunkiem.

A teraz drugi punkt widzenia... Miłość siebie samego nie oznacza hołdowania swemu ciału. „Mieć piękne ciało" - pod takim hasłem dziś reklamuje ciało świat. Jeśli przesuniemy granicę w tym kierunku, to pamiętajmy o ostrzeżeniu ap. Pawła: *Zamysł ciała, to śmierć. Jeśli bowiem według ciała żyjecie, umrzecie...* (Rz 8,6.13). I jeszcze dalej: *nie czyńcie starania o ciało, by spełniać jego pożądliwości.* Te i wiele innych miejsc w Biblii mają nam pomóc w tym, aby ciało w naszej ludzkiej przestrzeni nie zajęło pozycji dominującej.

Jeśli dzięki naszym rodzicom i tchnieniu Bożemu zaistnieliśmy, to nasze ciało musi mieć szczególne znaczenie na ziemi. Bóg posłał swego Syna, by ratować człowieka całościowo, by nie był pokalany w duchu, duszy i ciele. A zatem:

1. ciało przeznaczone jest na ofiarę żywą, świętą i miłą Bogu (Rz 12,1);
2. nasze ciała po nowym narodzeniu stają się członkami Ciała Jezusa (1Kor 6,15);
3. ciało dostępuje godności świątyni dla Ducha Świętego (1Kor 6,19);
4. ponieważ jesteśmy drogo kupieni, mamy wysławiać Boga w ciele (1Kor 6,20);
5. Chrystus będzie uwielbiony w naszym ciele, czy przez życie, czy przez śmierć (Flp 1,20).

Zwróćmy zatem uwagę, do czego ma służyć ciało człowieka nowo narodzonego, który trwa w Panu. Jaka godność, jaka pozycja, jakie uświęcenie! To wszystko dzięki ofierze Jezusa. W końcu apostoł zadaje pytanie: *czy mam tedy wziąć członki Chrystusowe i uczynić je członkami* [np.] *wszetecznicy? Przenigdy!*

Popatrzmy na Nowy Testament i na to, co Bóg uczynił dla nas, i nie myślmy o sobie jak o nędznym, brudnym i grzesznym wierzącym człowieku, bo jeśli tak myślimy i tak mówimy o sobie, to oznacza, że Jezus nie wykonał wystarczająco dobrze zleconego przez Ojca zadania. Bóg nie patrzy na nasze niedoskonałości i nie ocenia nas, jak my oceniamy siebie, tylko patrzy na doskonałe dzieło swojego Syna. A my, doceniając Bożą łaskę, wciąż starajmy się upodabniać do Jezusa i być świętym jak On.

Pamiętajmy, że diabeł nie ma prawa nawet dotknąć ciała człowieka wierzącego bez zezwolenia Boga, bo ono do Boga należy i jest doskonałym materiałem do budowy świątyni. Niczym innym tego materiału zastąpić nie można, tylko nasze ciało do tego się nadaje. Diabeł może jedynie wywierać presję na pożądliwość ciała, pożądliwość oczu i pychę życia. I gdyby mu się udało zniewolić umysł i ciało, wówczas duch człowieka staje się bezużyteczny. Zewnętrzny człowiek umacnia się nad wewnętrznym i staje się tak, że ostatnie rzeczy będą gorsze od tych, które kiedyś czynił w świecie.

A zatem nasze ciało z odnowionym duchem i zbawioną duszą dzięki Chrystusowi stało się **Świętym Bożym Przybytkiem w Panu** (Ef 2,21) i należy się mu szacunek.

Nie wolno go bezcześcić, nie wolno dla niego zapożyczać wzorców ze skażonego świata, bo tam dla odnowionego ducha nie ma niczego pożytecznego, tam panuje ciemność i śmierć, a my otrzymujemy życie w obfitości.

Chciałbym się teraz zatrzymać przy jednym z tytułowych wyrazów. **Niezniszczalny** to znaczy *wieczny*. Wniosek stąd oczywisty, iż każdy człowiek, który zaistnieje w łonie matki dzięki pomysłowości Stwórcy i zostanie odpowiednio utkany w głębinach ziemi, jak mówi dr Newman z 600 miliardów komórek, jest wieczny. Jest zbyt cenny w oczach Stwórcy, by trwał tylko chwilę na Ziemi, to jest 70 czy 80 lat, a potem został unicestwiony, jak chcieliby tego niektórzy, i na tym kończyła się jego historia.

Na pewno tak nie jest. Tylko Biblia mówi całą prawdę o człowieku. Dzięki tchnieniu Boga, duch człowieka, ten wewnętrzny człowiek, o którym wspomniałem wcześniej, nigdy nie zginie i nigdy nie umiera; wróci tam, skąd przyszedł. O tym mówi Salomon (Kzn 12): *Wróci się proch do ziemi, tak jak nim był, duch zaś wróci do Boga, który go dał.*

I oto też pytanie postawione na wstępie za psalmistą: *czymże jest człowiek?* Należy odpowiedzieć jasno i przejrzyście, a najbardziej przejrzyście o człowieku mówi Biblia.

Człowiek jest dziełem Boga, dziełem Jego palców, którymi kształtował księżyc i gwiazdy. Ukształtował Pan Bóg człowieka z prochu ziemi i tchnął w nozdrza jego dech życia. Wtedy stał się człowiek istotą żywą (1Mż 2,7).

A zatem zanućmy wraz z piewcą z betlejemskich stepów Dawidem – powtórzmy jego słowa, bo są prawdziwe i nikt nie może ich poprawić ani niczego do nich dodać. One pojawiły się pod natchnieniem Bożego Ducha: *Zbyt cudowna jest dla mnie ta wiedza, zbyt wzniosła, bym ją pojął. Dokąd ujdę przed Duchem Twoim i dokąd przed obliczem Twoim ucieknę? Jeśli wstąpię do nieba, Ty tam jesteś, a jeśli przygotuję sobie posłanie w krainie umarłych i tam jesteś. (...) Jak niezgłębione są myśli Twe, o Boże, jak wielka jest ich liczba. Gdybym chciał je zliczyć, byłoby ich więcej niż piasku, gdybym skończył, jeszcze byłbym z Tobą* (Ps139,6-8.17-18).

Przepisy Samarytanki

Tarta z truskawkami

Składniki:

300 g mąki,
8 łyżek zimnej wody,
20 g cukru,
szczypta soli,
150 g zimnego mleka,
2 budynie waniliowe,
2 szklanki mleka,
100 g śmietany

Sposób wykonania:

Z mąki, cukru, wody i soli zagnieść ciasto. Owinąć je w folię i wstawić do lodówki na 30 minut. Następnie ciasto rozwałkować i wyłożyć nim naczynie do tarty. Docisnąć ciasto i ponakłuwać widelcem. Piec w temperaturze 180 stopni przez 40 minut. Pozostawić do ostygnięcia.

Budyń ugotować w 2 szklankach mleka. Jeszcze gorący połączyć ze śmietaną i wylać na tartę. Truskawki umyć, osuszyć i usunąć szypułki. Ułożyć na budyniu.

Smacznego!

W następnym numerze:

W obliczu śmierci

Farid musiał patrzeć, jak podrzynają gardło człowieka obok niego. Wolą talibskiego przywódcy było, by to samo spotkało go następnego dnia. Został porwany z autobusu i żądano za niego ogromnego okupu. W jaki sposób Bóg go uratował i pozwolił kontynuować pracę pastorską?

Po co żyję?

Świadectwo młodego człowieka, który chciał odebrać sobie życie, bo był prześladowany w szkole i nie radził sobie w życiu, ale został zatrzymany przez samego Jezusa, który mu się objawił, gdy już trzymał w ręce nóż.

Jedenastoletni wrogowie

Bliźniaczki, córki pastora, są bardzo mądre i osiągają świetne wyniki w szkole, ale są szykanowane i poniżane przez nauczycieli dlatego, że są chrześcijankami. Wmawia im się, że są wrogami władz i przynoszą szkole wstyd. Wracają do domu całe we łzach... Ostatecznie zostają wyrzucone ze szkoły. Ojciec stara się je pocieszyć, ale niewiele to daje do momentu, gdy mówi im, że te cierpienia spotykają je ze względu na Chrystusa...

Samarytanka poleca:

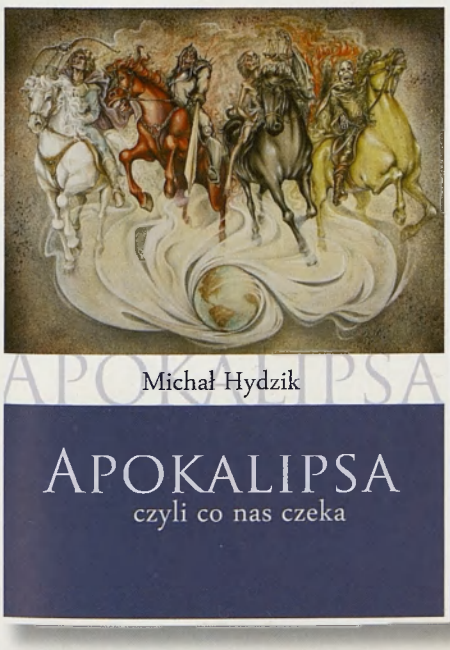

Książka pt. Co nas czeka, w której odwoływałem się do Księgi Objawienia św. Jana (Apokalipsy), doczekała się kilku wznowień, bowiem czytelników zainteresowała jej tematyka. Służąc w zborze „Filadelfia" w Bielsku-Białej, a później „Betel" w Ustroniu podczas godzin biblijnych poszerzyłem ten temat, analizując wiersz po wierszu, rozdział po rozdziale. Zauważyłem dość duże zainteresowanie wykładami na temat Apokalipsy zarówno w miejscowym środowisku, jak i u korzystających z internetu na całym świecie. Zachęcony tym zainteresowaniem postanowiłem owe wykłady spisać i wydać w formie książkowej.

I tak oto, drodzy czytelnicy, oddaję w Wasze ręce moją interpretację wspaniałej księgi, jaką jest Apokalipsa św. Jana.
Nie liczę, że wszyscy czytający będą podzielać w całości mój punkt widzenia, ale modlę się, aby mimo wszystko książka ta była błogosławieństwem dla czytających i zachętą do oczekiwania na powtórne przyjście naszego Pana.

Michał Hydzik

Książkę można nabyć w naszej redakcji, wpłacając na konto ChMK kwotę podaną na przelewie.

Chrześcijańskie Czasopismo dla Kobiet
Samarytanka - kobieta, która powiedziała innym, kim stał się dla niej Jezus

Wydawca: Wydawnictwo Chrześcijańskie ARKA, ul. Błogocka 28, 43-440 Cieszyn **Redaktor naczelna:** Tatiana Ilczuk-Hydzik
Tłumaczenie tekstów: Małgorzata Mocha **Korekta stylistyczna i skład:** Jolanta Chwastek **Druk:** Wydawnictwo ARKA.
Nakład: 2400 egz. **Zdjęcia i grafika:** www.sxc.hu, www.fotolia.com. Wszelki przedruk tekstów za zgodą redakcji.

741517

Klejnot duszy

Alfreda Furgała

Ukryj swój smutek,
bo każdy go ma,
niech z twego oka
nie spływa łza.
Pokaż swój uśmiech,
co zdobi twarz,
to klejnot duszy
i ty go masz.
Rozrzucaj uśmiechy,
klejnoty swe,
ktoś je pozbiera,
komu jest źle.
One rozproszą
zwątpienia mgły,
one rozjaśnią
ponure dni.
Więc śmiej się zawsze,
choć ci smutno i źle,
bo ktoś twą perłą
wzbogaci się.